



Alice
CLAYTON

Jennifer
DeLUCY

Nicki
ELSON

Jessica
McQUINN

Victoria
MICHAELS

Alison
OBURIA

ZAKOCHAJ SIĘ WE MNIE

SZEŚĆ SPOJRZEŃ NA MIŁOŚĆ Pascal

Alice
CLAYTON

Jennifer
DeLUCY

Nicki
ELSON

Jessica
McQUINN

Victoria
MICHAELS

Alison
OBURIA

ZAKOCHAJ SIĘ WE MNIE

tłumaczenie Regina Mościcka

Pascal

Copyright © Alice Clayton, Jennifer DeLucy, Nicki Elson, Jessica McQuinn, Victoria Michaels and Alison Oburia

Copyright for Polish translation © Wydawnictwo Pascal sp. z o.o. Wszystkie prawa zastrzeżone. Zatwierdzone tłumaczenie edycji w angielskiej wersji językowej wydanej przez Omnific Publishing, LLC. Żadna część tej książki nie może być powielana lub przekazywana w jakiegokolwiek formie bez pisemnej zgody wydawcy, za wyjątkiem recenzentów, którzy mogą przytoczyć krótkie fragmenty tekstu.

Ta książka jest fikcją literacką. Jakiegokolwiek podobieństwo do rzeczywistych osób, żywych lub zmarłych, autentycznych miejsc, wydarzeń lub zjawisk jest czysto przypadkowe. Bohaterowie i wydarzenia opisane w tej książce są tworem wyobraźni autorki bądź zostały znacząco przetworzone pod kątem wykorzystania w powieści.

Tytuł oryginalny: *A Valentine Anthology*

Tytuł: *Zakochaj się we mnie*

Autorzy: *Alice Clayton, Jennifer DeLucy, Nicki Elson, Jessica McQuinn, Victoria Michaels, Alison Oburia*

Tłumaczenie: *Regina Mościcka*

Redakcja: *Magdalena Binkowska*

Korekta: *Aleksandra Tykarska*

Projekt graficzny okładki: *Katarzyna Borkowska*

Zdjęcie na okładce: *With love of photography/Getty Images*

Redaktor prowadząca: *Angelika Ogrocka*

Redaktor inicjująca: *Agnieszka Skowron*

Redaktor naczelna: *Agnieszka Hetnał*

Wydawnictwo Pascal sp. z o.o.

ul. Zapora 25

43-382 Bielsko-Biała

www.pascal.pl

Bielsko-Biała 2016

ISBN 978-83-7642-742-3

eBook maîtrisé par Atelier Du Châteaux

Opowiadania na walentynki

Romantyczne historie:

Alice Clayton

Jennifer DeLucy

Nicki Elson

Jessica McQuinn

Victoria Michaels

Alison Oburia

Smak zmysłów

Alice Clayton

Wygląda na to, że zostałyśmy same, mała... Tylko ty i ja – powiedziałam i pokiwałam smutno głową, rozglądając się po pustym domu.

Pieczołowicie rozłożone poduszki, starannie porozstawiane meble, kolory dobrane z wielką dbałością o szczegóły. Mój przepiękny, idealny dom.

Mój dom przepelniony samotnością.

Chodziłam od pokoju do pokoju z Mary Jane przy nodze, przyglądając się oprawionym w ramki fotografiom, wyrównując sterty czasopism i ścierając niewidzialne drobiny kurzu z klosza lampy. Obrzuciłam wzrokiem swój pograżony w ciemny świat, wydając westchnienie, które odbiło się echem w pustej przestrzeni, a potem poszłam do kuchni, żeby przygotować sobie lunch.

Kiedy kończyłam robić kanapkę z indykiem, Mary Jane trąciła nosem moją dłoń w niemej prośbie, by się z nią podzielić.

– Głuptasie, i tak jadasz lepiej niż inne psy – stwierdziłam, kładąc w jej zasięgu kawałek mięsa.

Polizała mnie po koniuszkach palców, obdarzyła najpiękniejszym z psich uśmiechów, a potem pochłonęła go jednym kęsem. Uśmiechnęłam się do niej i zanurzyłam palce w miękkiej brązowej sierści, przypominając sobie inne walentynki, zupełnie odmienne od dzisiejszych...

– *O rany, Timothy, coś ty znowu wymyślił?! – wykrzyknęłam na widok kartonowego pudła z otworami w ściankach.*

– *Otwórz. Nie zastanawiaj się, tylko otwórz – odparł ze śmiechem, przysuwając pudło do mnie.*

– *Czyś ty zwariował?! Cokolwiek w nim jest i tak nas na to nie stać.*

– *Przestań, Maddie, czasem trzeba sobie powiedzieć: „chcę to mieć”. A poza tym, kiedy się pobierzemy i zostanę wziętym prawnikiem, będziemy mieli forsy jak lodu. No już, otwórz to pudło, zanim samo się otworzy! – rzucił i roześmiał się, widząc, że karton zaczyna się ruszać.*

Przewracając oczami nad jego niepraktycznym prezentem, podeszłam bliżej, a wtedy usłyszałam wydobywające się ze środka skomlenie. Rozdarłam wierzch pudełka i serce momentalnie mi zmiękło. Na rozłożonym na dnie starym ręczniku przycupnął najstodszy szczeniaczek, jakiego kiedykolwiek widziałam: czarny, z brązowym paskiem i białym podbrzuszem. Gdy wraz z Timothyem pochylił się nad nim, zaczął piskliwie ujadać.

– *Nie mogę uwierzyć, że to zrobiłeś – powiedziałam miękkiem głosem, zauroczona psiakiem.*

Podniosłam go, a on od razu polizał mnie po twarzy.

– *Pomyślałem, że przyda ci się towarzystwo, kiedy będę musiał pracować do późna – wyszeptał mi do ucha, gdy tuliłam do siebie szczeniaczka.*

– *Naprawdę nie możemy sobie na niego pozwolić, ale nie mam zamiaru teraz się nad tym teraz zastanawiać – powiedziałam wesoło i ucałowałam nowego przyjaciela.*

– *Jak ją nazwiesz?*

– *To ona? Cudownie, zawsze marzyłam o suczce! – zawołałam uszczęśliwiona, po czym postawiłam małą na podłodze, żeby mogła się rozejrzeć po swoim nowym domu.*

Szybko zaczęła penetrować nasze ciasne mieszkanko, na początek zafascynowana ściereczką zawieszoną na uchwycie piekarnika. Wybuchliśmy śmiechem, widząc, jak ściąga ją na siebie i szczeka, oglądając się wyczekująco na nas.

– *Mary Jane – wyrwało mi się.*

– *Mary Jane?*

– *Tak ją nazwiemy.*

– *Takie babcine imię dla małego pieska? Na pewno? – spytał, marszcząc brwi.*

– *Dlatego jest zabawne! – zaprotestowałam, biorąc na ręce Mary Jane i rozkoszując się dotykiem mięciutkiej sierści na swoim policzku.*

– *Niech będzie Mary Jane. Szczęśliwych walentynek, Maddie! – zamruczał mi do ucha, obejmując wpeł i przyciągając do siebie.*

– *Nawzajem, skarbie. Kocham cię – szepnęłam.*

Dziś, mając na koncie dziesięć przeżytych wspólnie lat, ślub, własny dom i obiecującą karierę prawniczą męża, doszło do tego, że spędzam walentynki samotnie... Westchnęłam głęboko i wyrzuciłam do śmieci resztę kanapki. Straciłam apetyt, gdy mój wzrok już kolejny dziś raz padł na notkę zostawioną na tablicy przez męża prawnika:

„Idę na kolację z partnerami, nie czekaj na mnie.
Tim”.

Czy można uchwycić ten moment, kiedy romantyzm umiera? Siedząc samotnie w ukochanym domu, otoczona przez ulubione przedmioty, nagle przyłapałam się na tym, że tęsknię za czasami, gdy nie mieliśmy nic prócz naszej miłości. I gdy obojgu nam zależało, by jak najczęściej ją czuć.

– *Skarbie, co tak pięknie pachnie?*

– *Oprócz mnie? – zapytałam i roześmiałam się, odwracając głowę od ku-*

chenki i uśmiechając się przez ramię do świeżo poślubionego małżonka.

Nie dało się nie zauważyć cieni pod jego oczami i wielkiego znużenia, zupełnie jakby płaszcz, który właśnie odwieszał, ważył co najmniej dwadzieścia kilo. Wszyscy nas ostrzegali, że pierwszy rok w firmie będzie najcięższy, i rzeczywiście tak było. Tim pracował po kilkanaście godzin dziennie i w zasadzie prawie się nie widywaliśmy. Na dobre pieniądze, które rzekomo zarabiają młodzi prawnicy, wciąż jeszcze trzeba było czekać, ale robiłam, co w mojej mocy, by w naszym mieszkanku było domowo i przytulnie.

– Ty zawsze cudownie pachniesz, kotku, ale powiedz mi, co gotujesz? – spytał, obejmując mnie od tyłu i wtulając się w moje plecy. Oparł podbródek na moim ramieniu, a ja nie przerywałam mieszania sosu.

– Zaszalałam. Dziś mamy do makaronu sos mięsny, w którym naprawdę jest mięso – odparłam ze śmiechem.

W tym czasie Tim wyłowił z przygotowanej wcześniej sałatki serce karczocha.

– No, no, karczochy! Jemy je chyba pierwszy raz od naszego wesela.

Roześmiał się, całując mnie jednocześnie w kark, od czego jak zwykle ugięły się pode mną nogi.

– Uznałam, że serca będą odpowiednie na tę okazję – wyszeptalam, czując, jak znaczy pocałunkami moją szyję, a potem zsuwa usta na ramiona.

– Bardzo odpowiednie – wymruczał. – A gdzie jest ta mała butelka po mleku, którą wyszperałaś na targu staroci?

– Pod zlewem. A co? – spytałam, czując, jak zwalnia uścisk.

Odwróciłam się i zobaczyłam, że sięga po butelkę, a potem wkłada do niej dwa tulipany – różowy i czerwony.

– Kotku, są prześliczne! – powiedziałam i rozpromieniłam się w uśmiechu, szczęśliwa, że mój mąż pamięta, że je tak uwielbiam. Róże są oklepane, a tulipany to coś wyjątkowego.

– Jesteś piękna – odparł, odgarniając mi włosy z karku, by znów mnie pocałować.

– Lizus! Ale wybaczę ci, jeśli nadal będziesz tak robił – jęknęłam, czując, że zaczyna delikatnie kęsać moją szyję.

– Szczęśliwych walentynek, złotko – szepnął mi do ucha. Uśmiechnęłam się, nie przestając mieszać sos.

– Nawzajem – odpowiedziałam, wypuszczając z ręki łyżkę.

Odwrócił mnie przodem do siebie i nachylił się, żeby pocałować w usta.

Ponieważ nigdy dotąd nie zdarzyło mi się spalić sosu, nie miałam pojęcia, że to w ogóle możliwe. Gdy jednak prawie po godzinie i kilku orgazmach podnieśliśmy się z kuchennej podłogi, nago i z włosami w nieładzie, na patelni zamiast sosu

widniała żalosna czerwonobrazowa maź. Makaron całkowicie się rozgotował i skleił w jasnobeżową breję.

Tamtego roku nasza uroczysta walentynkowa kolacja składała się z naprędce zamówionej chińszczyzny, którą zjedliśmy nago na kocu rozłożonym na środku pokoju. Popijaliśmy ją piwem imbirowym z kieliszków do szampana, które dostaliśmy w prezencie ślubnym. Wyglądało jak najdroższe bąbelki.

Dlaczego jedliśmy kolację nago na środku pokoju? Bo byliśmy świeżo po ślubie i tak nam się podobało.

Przypomniałam sobie z rozrzewnieniem tamten dzień, biegając z Mary Jane po parku. Łatwo o romantyzm, gdy jest się młodym i szaleńczo zakochanym, ale z upływem lat coraz trudniej utrzymywać temperaturę związku.

Kiedy pobieraliśmy się z Timem, miałam pracę. Zrobiłam dyplom z literatury angielskiej, ale zatrudniłam się w firmie cateringowej. On nadal studiował. Szybko odkryłam, że bardzo lubię piec i zaczęłam wyrabiać sobie markę dzięki swoim staroświeckim ciastom – bogato lukrowanym i wielowarstwowym. Moją specjalnością były wypieki, które ludzie pamiętali z dzieciństwa: orzechowiec, kokosowiec, red velvet¹). Ponieważ cieszyły się coraz większą popularnością, zaczęłam się zastanawiać, czy nie otworzyć własnego biznesu.

1) Amerykańskie ciasto w czerwonym kolorze przełożone białym kremem (przyp. tłum.).

Jednak niedługo potem Tim zaczął pracę w firmie i szybko doszliśmy do wniosku, że chcemy powiększyć rodzinę. Gdy zarabiał już tyle, że stać nas było na kupno niewielkiego domu, zrezygnowałam z pracy i zajęłam się jego urządzaniem, a także... ekhm... staraniami. Mieliśmy z tego dużo przyjemności, ale kiedy minął rok i nie było efektów, zgłosiłam się na badania. Wkrótce się okazało, że nie będzie nam dane mieć dzieci, więc odłożyliśmy rodzinne plany na bliżej nieokreśloną przyszłość, aż zdecydujemy, czego oczekujemy od życia. Z czasem wpadliśmy w rutynę, dochodząc do wniosku, że jesteśmy w miarę szczęśliwi we dwojkę, z Mary Jane jako namiastką potomka.

Z biegiem czasu Tim zaczął piąć się po szczeblach kariery, więc mogliśmy sobie pozwolić na kupno większego domu. Z upływem lat coraz bardziej zaczęła mi odpowiadać rola pani domu, a moje plany, by założyć własną firmę cateringową, poszły w niepamięć. Pracowałam jako wolontariuszka, zajmowałam się ogrodem i cieszyłam życiem. Czasami spotykałam ludzi, którzy z pogardą traktowali kobiety poświęcające się rodzinie, ale ja byłam dumna z tego, że udało mi się stworzyć dla nas cudowny dom.

Mniej więcej rok temu Tim zaczął pracować jeszcze więcej, chcąc zostać partnerem w firmie. Poczulałam się samotna i trochę bezużyteczna, wróciłam więc do pieczenia, początkowo dla przyjaciół, zachwyconych tym, co przynosiłam na

wspólne spotkania. Stopniowo pojawiły się prośby o wypieki na przyjęcia urodzinowe dzieci czy imprezy pożegnalne i zanim się obejrzałam, miałam coraz więcej zamówień. Od jakiegoś czasu planowałam porozmawiać z Timem o założeniu własnej firmy i pieczeniu ciast na zamówienie. Teraz, gdy zapomniał o walentynkach, nadarzała się okazja, by wytoczyć ciężkie działa.

Wjeżdżając na podjazd, zauważyłam w garażu jego samochód. Z niedowierzaniem spojrzałam na zegarek – dopiero wpół do szóstej, a przecież nigdy nie wracał do domu tak wcześnie... Mieliśmy szczęście, jeśli udało mu się usiąść do kolacji przed ósmą.

Weszliśmy z Mary Jane przez kuchnię. Nawet ona zaczęła nagle węszyć, jakby czuła, że coś wisi w powietrzu. Zobaczyłam płaszcz Tima przewieszony przez oparcie krzesła, ale jego samego nigdzie nie było widać. Wytężyłam słuch... Cisza.

– Timothy? – zawołałam, a wtedy z góry dobiegł mnie stłumiony okrzyk:

– Cholera!

Czyżby jednak pamiętał o walentynkach? Wołałam nie robić sobie nadziei, bo ostatnio bardzo ciężko pracował nad jakąś sprawą. Chciał zostać partnerem, więc liczba godzin poświęconych przez niego firmie powoli zakrawała na absurd. A kiedy pochłaniała go praca, zapominał o całym świecie.

Nasze małżeństwo było udane, jednak coraz częściej miałam poczucie, że najważniejsza jest jego praca. Tęskniłam za nim i chciałam, aby więcej przebywał w domu. Kiedy skończył studia, oboje spodziewaliśmy się, że będzie musiał dużo pracować i jakoś udawało nam się wszystko pogodzić. Nawet już po ślubie zawsze znajdowaliśmy czas, żeby – jak to się ładnie mówi – zbliżyć się do siebie. A ostatnio?

Nie doszło między nami do zbliżenia już od kilku tygodni i powoli zaczynałam się robić nerwowa.

– Niech to szlag! – usłyszałam znowu, więc poszłyśmy z Mary Jane sprawdzić, co się dzieje.

Może wrócił do domu wcześniej, żeby mi zrobić niespodziankę? Może w końcu dojdzie między nami do... zbliżenia? Może...

Upomniałam się w duchu. Bałam się rozczarowania, jeśli okazałoby się, że rzeczywiście zapomniał. Idąc po schodach na górę, zawołałam do niego, żeby uprzedzić, że jestem już w domu.

– Kotku, co ty tam robisz?

Mary Jane wyrwała się do przodu, chcąc się z nim przywitać. Ona również tęskniła za długimi spacerami, na które dawniej ją zabierał.

– Maddie? Hej, jestem w sypialni! – krzyknął, więc poszłam w tamtą stronę.

Stał pośrodku garderoby, przesuwając jeden po drugim wieszaki z garniturami, jakby czegoś szukał.

– Hej, skarbie, już w domu? – spytałam, nachylając się, żeby dać mu szybkiego całusa.

Odsunął się od ubrań i odwrócił głowę w moją stronę, by oddać pocałunek, ale zaraz potem wrócił do poszukiwań.

– Wpadłem tylko na chwilę przed kolacją, żeby coś zabrać. Nie widziałś mojego niebieskiego krawata? Tego, który dałaś mi pod choinkę dwa lata temu?

– Proszę bardzo, tu jest, ale po co ci drugi? – spytałam, wyławiając wspomniany krawat z bałaganu, jaki zrobił w garderobie.

To był mój ulubiony krawat. Idealnie pasował do jego oczu – intensywnie błękitnych, wręcz fioletowych. Na ich widok Elizabeth Taylor pozieleniałaby z zazdrości.

– Ech... zamoczyłem krawat w zupie podczas lunchu. Nie mogę tak iść na ważną kolację, no nie?

Roześmiał się, a potem rozpiął guzik pod szyją i zdjął przez głowę brudny krawat. Rzuciłam go na stertę ubrań przeznaczonych do pralni, zirytowana, że jednak ma zamiar spędzić wieczór poza domem.

Weszłam ciężkim krokiem do sypialni i usiadłam nadąsana na łóżku, zastanawiając się, czy w ogóle podejmować temat. Ciężko pracował, głównie dlatego, żebyśmy mogli wygodnie i beztrosko żyć. Ale żeby zapomnieć o walentynkach?

– A ty co robisz wieczorem? – spytał, wchodząc do łazienki i odkręcając kran.

– Nic konkretnego nie planowałam. Czekałam... – odparłam sugestywnym tonem.

Podczas naszej rozmowy Mary Jane siedziała w otwartych drzwiach garderoby, odwracając głowę raz w moim, raz w jego kierunku, zupełnie jakby śledziła mecz tenisowy.

– Co mówiłaś? – zawołał, przekrzykując szum wody.

– Mówiłam, że nie mam żadnych planów. Czekam na to, co dzień przyniesie! – odkrzyknęłam, z trudem powstrzymując łzy.

Odwróciłam się tyłem do drzwi łazienkowych i zaczęłam uderzać pięścią w poduszkę, jak dziecko w napadzie złości. Jeśli jeszcze raz mnie zapyta, co robię wieczorem, to nie rękę za siebie...

Nagle woda przestała szumieć.

– Przepraszam, kotku, nie dosłyszałem... Więc co mówiłaś? – powtórzył, a ja mimowolnie zwinęłam dłoń w pięść.

– Mówiłam, ty sklerotyku, że... – zaczęłam, przekręcając się na drugi bok.

Stał w drzwiach z bukietem czerwonych i różowych tulipanów.

– Co to?! – wydałam z siebie zdumiony okrzyk, a on ruszył w moim kierunku.

– Naprawdę myślałaś, że zapomniałem, jaki dziś mamy dzień? Głuptasie... –

Roześmiał się, wnioskując z mojej miny, że się nie pomylił.

– Ale przecież... mówiłeś... i zostawiłeś wiadomość... więc... jak to? – spytałam niepewnie, czując zamęt w głowie.

Usiadł obok mnie na łóżku, odgarnął mi włosy z twarzy i wręczył bukiet. Potem ujął moją twarz w obie dłonie i złożył na moich ustach pocałunek – długi, głęboki i namiętny.

– Kocham cię i dlatego zabieram dziś swoją dziewczynę na kolację. Ubieraj się. – Uśmiechnął się do mnie szeroko i znów pocałował, tym razem w czułe miejsce tuż pod prawym uchem. Dobrze wiedział, że wtedy zawsze się rumienię. – A swoją drugą dziewczynę zabieram na spacer. Tak, tak, i to zaraz! – zawołał w stronę Mary Jane, która momentalnie zerwała się z miejsca.

Przycisnęłam do piersi bukiet, patrząc, jak mój przystojny mąż wychodzi z sypialni. W myślach robiłam przegląd swojej garderoby. Miałam na dzisiejszy wieczór coś specjalnego.

Wyprostowałam się na krześle i odsunęłam od stolika, poklepując z błogością po brzuchu.

– To najlepszy posiłek w moim życiu – westchnęłam z zadowoleniem, upijając łyk wina.

Tim zabrał mnie do naszej ulubionej hiszpańskiej restauracyjki na prawdziwie królewską ucztę: krewetki z grilla, duszone mule z chorizo, klopsiki cielęcowo-wieprzowe z serem Manchego, a na koniec jeszcze paella. Nie mogłam uwierzyć, że byliśmy w stanie pochłonąć aż tyle jedzenia. Wcześniej wypiałam już kilka lampek cavy, teraz zaś delectowałam się wyśmienitym porto.

– Całkiem niezły, ale daleko mu do mango, które jadłem z twojego brzucha w zeszłym roku na Bora-Bora – wymamrotał, spoglądając mi w oczy znad kieliszka.

– Mmm... faktycznie. No dobra, nie licząc wakacyjnych uczt, ta była najwspanialsza – westchnęłam błogo, prostując pod stołem nogi i niechcący trącając go stopą.

– Do czego pani zmierza, pani Foster?

– To był przypadek, panie Foster, skoro jednak jesteśmy przy tym temacie... – odparłam, podejmując grę i wyjmując z buta stopę, którą wsunęłam mu pod nogawkę spodni.

Przymknął oczy i się uśmiechnął.

– Nie zaczynaj czegoś, czego nie możesz skończyć – ostrzegł, spoglądając na mnie szeroko otwartymi oczami.

– Kto mówi, że nie mogę? – zdziwiłam się z przekornym uśmieszkiem, wędrując palcami po jego nodze.

– Czy coś jeszcze państwu podać? – rozległ się głos kelnera, który jak na złość akurat w tym momencie musiał się zjawić przy naszym stoliku.

– O Jezuu, nie! Wszystko było pyszne.

Powoli opuściłam stopę i wsunęłam ją z powrotem do buta.

Rozejrzałam się po restauracji – otaczały nas same szczęśliwie zakochane pary. Może dzień zakochanych jest komercyjnym świętem, ale to nie zmienia faktu, że najważniejsza w nim jest miłość.

– Dziękuję, na nas już pora. Prosimy o rachunek – rzucił Tim.

– O tak, już najwyższa pora – potwierdziłam szeptem, a on uniósł pytająco brwi.

– Tak sądzisz?

– Uhm – przytaknęłam, puszczając do niego oko.

– Dobrze wiedzieć – odpowiedział mrugnięciem.

Kilka minut później siedzieliśmy w samochodzie, pędząc w kierunku domu. Podczas jazdy cały czas trzymał rękę na moim kolanie i wodził po nim opuszkami palców, doprowadzając mnie tym niemal do szaleństwa.

– Naprawdę myślałaś, że zapomniałem o dzisiejszym święcie? – spytał niespodziewanie.

– Tak.

– Byłem pewien, że się domyślisz, że cały ten numer z kolacją służbową to wybieg. Chciałem ci zrobić niespodziankę.

– Wiem, skarbie. Tylko że ostatnio nie mieliśmy dla siebie zbyt wiele czasu.

W zasadzie już od dość dawna – przypomniałam.

W odpowiedzi ujął moją dłoń i uniósł ją do ust.

– Stęskniłem się za tobą – odparł, odwracając głowę w moją stronę, gdy czekaliśmy na zmianę świateł.

– Ja za tobą też – powiedziałam niemal szeptem, czując, że na widok jedyne-
go mężczyzny na świecie, jakiego kiedykolwiek naprawdę kochałam, do oczu napływają mi łzy. Jedyne-
go, którego dotyk przyprawiał mnie o drżenie, który tak dobrze mnie znał i którego będę kochać przez resztę swojego życia. – Zabierz mnie do domu – szepnęłam, a potem uniosłam jego dłoń do swoich warg i czule ją pocałowałam.

– A potem? – spytał prowokująco, odwracając wzrok i skupiając się na jeździe.

– A potem do łóżka – odparłam tym samym tonem. Momentalnie mocniej wcisnął pedał gazu, a moja głowa opadła na oparcie.

Roześmiałam się wniebowzięta, że nadal tak mocno działałam na swojego męża.

Wspinaliśmy się niecierpliwie po schodach, nie zwracając sobie głowy zapalaniem świec, byle jak najszybciej znaleźć się w sypialni. Marynarka Tima zawisała na drzwiach wejściowych, moje buty zostały gdzieś w salonie, a pończochy skończyły przerzucone przez balustradę.

– Jak ty to, do cholery, zawiązałaś? – wystękał, zmagając się z zawiązanym na kokardę paskiem mojej kopertowej sukienki z czerwonego jedwabiu. Zatrzymaliśmy się na moment na półpiętrze, błędząc niecierpliwymi dłońmi po swoich ciablach i przywierając zachłannie do swoich warg. Mary Jane na nasz widok roztropnie wycofała się na swoje legowisko w kuchni.

– Taki wielki facet i nie daje sobie rady z malutkim węzełkiem? – roześmiałam się, sięgając ustami do jego ucha i delikatnie je przygryzając, co zawsze szalenie go podniecało.

– Och, Maddie, taka piękna sukienka – odezwał się ironicznie, odciągając mnie od siebie, by spojrzeć mi w oczy.

Nagle poczułam szarpnięcie, bo zdecydowanym ruchem rozdarł ją na moich piersiach. Gwałtownie wciągnęłam powietrze, a potem wbiłam w niego wzrok, dysząc równie ciężko jak on. Uniosłam prowokująco brew i to mu wystarczyło.

Przeszedł do sedna.

Złapał mnie wpół, owijając wokół siebie moje nogi, i zanim się obejrzałam, już niósł mnie po schodach na górę. Zataczaliśmy się ze śmiechem po korytarzu, objijając się o ściany.

– Zdaży pan dotrzeć do sypialni, panie Foster? – zakpiłam, gdy odbił się od kolejnego rogu i przyparł do framugi drzwi.

– Ma pani coś przeciwko podłogom, pani Foster? – spytał ostrzegawczym tonem, rozluźniając nieco uścisk, aż zaczęłam się zsuwać po jego ciele.

– Skąd! – zaprzeczyłam, a on z przekornym uśmiechem znów mnie podciągnął.

– A oto i sypialnia – powiedział i rzucił mnie na łóżko jak worek ziemniaków.

– Auć! To nie było zbyt romantyczne – zauważyłam z przekąsem, spoglądając na swoją rozdartą suknię.

– Zaraz będzie romantycznie, kochanie – wymamrotał, rozluźniając krawat i wysuwając go powoli spod kołnierzyka.

– Och... – wyrwało mi się, a na jego twarz powoli wypłynął uśmiech.

– Masz do niego słabość, prawda? – roześmiał się, rzucając krawat na brzeg łóżka i biorąc się niecierpliwie do rozpinania spinek od mankietów.

– Uhm, ten błękit... – przyznałam, czując jak na widok męża po moim ciele rozchodzi się fala ciepła. Był tak samo przystojny, jak wtedy, gdy się poznaliśmy i jak w dniu, w którym się oświadczył.

– Widziałaś kluczyki od samochodu?

– Nie. A nie ma ich na stoliku przy drzwiach?

– Nie, tam już sprawdzałem. Poszukaj w moim płaszczu, a ja sprawdzę w sypialni! – zawołał z przedpokoju.

Jęknęłam pod nosem. Tim nigdy nie mógł ich znaleźć, a mieliśmy zarezerwowany stolik w restauracji na wpół do ósmej. Jeśli się spóźnimy, nie ma szans, żeby przedłużyli rezerwację, nie w walentynki.

Jego płaszcz jak zwykle wisiał przerzucony przez oparcie krzesła w salonie, kilka metrów od wieszaka, który stał przy drzwiach. Setki razy prosiłam, żeby go tam wieszał, gdy wraca do domu, ale co wieczór musiałam to robić za niego. Idąc z płaszczem do przedpokoju, wsunęłam rękę do kieszeni w poszukiwaniu kluczyków. Natrafiłam na zwitek niepotrzebnych papierów, tik-taki i... aksamitne pudełeczko.

Wyjęłam je z kieszeni i w tym samym momencie usłyszałam za plecami skrzypienie podłogi. Odwróciłam się, nie mogąc wydobyć z siebie głosu, a wtedy zobaczyłam, że Tim klęczy przede mną na jednym kolanie i uśmiecha się z nadzieją.

– Co robisz? – wyszeptalam, czując, jak po policzkach spływają mi łzy.

– Proszę cię o rękę – szepnął, a potem wyjął mi z rąk pudełeczko, otworzył je i wyciągnął w moim kierunku.

Wydałam okrzyk zachwyty na widok okrągłego diamentu.

– Och, Timothy, tak, tak, tak! – wykrzyknęłam, zarzucając mu ręce na szyję i mocno go do siebie przytulając. Tak mocno, aż oboje straciliśmy równowagę i poturlaliśmy się po podłodze.

Śmiejąc się jak szaleni, zatrzymaliśmy się w drzwiach i usiedliśmy.

– Poczekaj, przecież jeszcze cię nie spytałem! – zawołał i włożył mi pierścionek na palec. – Maddie, nie potrafię wyrazić, jak bardzo cię kocham. Zostaniesz moją żoną? – powiedział poważnym tonem, przygryzając dolną wargę, jak miał w zwyczaju, gdy robił się nerwowy. Albo głodny, ale tym razem obstawiałam zdennerwowanie.

– Czy już mogę powiedzieć „tak”? – zapytałam, wpatrując się w swoją dłoń z lśniącem pierścieniem.

– Tak! – wykrzyknął.

– Tak, tak, tak!

Przywarliśmy do siebie, obejmując się i całując wszędzie tam, gdzie mogliśmy dosięgnąć, nie rozluźniając uścisku.

W tamte walentynki w ogóle się nie przejęliśmy, że przepadła nam rezerwacja stolika.

Tim podciągnął się na łóżku w moją stronę. Rozmyślając o naszych poprzednich walentynkach, przegapiłam moment, gdy się rozbierał. Nie mogłam się napatrzeć na jego rozwichrzone blond włosy, płonące ogniem błękitne oczy i ciało,

wciąż tak samo jędrne i szczupłe, jak w dniu, w którym się poznaliśmy. Całując moje kolana, raz jedno, raz drugie, położył mi dłoń na udzie, a ja zaczęłam się napawać widokiem jego ślubnej obrączki.

– Timothy?

– Tak, skarbie?

– Kocham cię – powiedziałam po prostu, sięgając dłonią do jego podbródka i unosząc jego głowę, żeby mógł spojrzeć mi w oczy.

– Ja też cię kocham, Maddie – odparł, całując moją otwartą dłoń. – Nie masz pojęcia, jak bardzo...

Znów ucałował środek mojej dłoni, a ja wyciągnęłam drugą rękę i zanurzyłam palce w jego włosach.

– Timothy?

– Tak, kochanie?

– Możesz ze mnie zdjąć... resztę sukienki?

Przerwał pocałunki i uśmiechnął się do mnie łobuzersko.

– Już się robi!

Chwilę później skrawki czerwonego jedwabiu wylądowały na łóżku i obu szafkach nocnych. Ich śladem poszła reszta naszych ubrań, które na szczęście zachowały się w całości.

Tim przywarł swoim silnym, idealnie umięśnionym, ciałem do mojego. Oplotłam go mocno nogami, a on uśmiechnął się i wsunął we mnie – powoli, delikatnie, namiętnie. Gdy poczułam go w środku, z mojej piersi wyrwało się westchnienie.

Poruszając się we wspólnym rytmie w intymnym tańcu, który znaleźliśmy na pamięć, a mimo to za każdym razem wydawał się nam inny i niepowtarzalny, kolejny raz zdałam sobie sprawę z tego, jak bardzo go kocham. Dotarło do mnie, że już nigdy nie będę się czuła w naszym domu samotna.

– Tęskniłam za tobą – wyszeptałam, przytulając go mocniej do siebie, kiedy leżeliśmy.

Czułam na swoim ciele jego słodki ciężar, a nasze klatki piersiowe wznosiły się i opadały w zgodnym rytmie.

– Niedługo już nie będziesz musiała – powiedział stłumionym głosem, nie odrywając warg od mojej szyi, którą znaczył czuлыми i delikatnymi pocałunkami.

– To znaczy? – spytałam cicho, wodząc opuszkami palców po jego plecach.

– Nie mówiłem ci? Zostałem partnerem. A to oznacza, że mogę trochę zwolnić...

Zastygłam w bezruchu. Dopiero chwilę potem opamiętałam się i zaczęłam go bić po głowie poduszką.

– Zostałeś partnerem?! Ty draniu! Od kiedy o tym wiesz? – wykrzyknęłam, zapominając, że jestem całkiem naga, i powtórnie zamierzając się na niego podusz-

ką.

Roześmiał się w głos, próbując uchylić się przed ciosem, a potem podniósł się i klęknął na łóżku, łapiąc mnie za nadgarstki.

– Od kilku dni, ale czekałem z tą nowiną do walentynek.

Usiadłam nieruchomo, zastanawiając się, co to w ogóle dla nas znaczy. Więcej czasu dla domu. Mniej weekendów spędzanych w pracy. Kolacja o szóstej trzydzieści, a może nawet o szóstej. I lepsze pieniądze.

– O czym tak rozmyślasz? – spytał, przysuwając się bliżej i wtulając we mnie.

– O kuchence Viking z podwójnym piekarnikiem.

– Jakiej kuchence? – zdziwił się, pociągając mnie z powrotem na łóżko.

Usiadłam na nim okrakiem. Wiedziałam, że całkiem nieźle wyglądam, a on uwielbia patrzeć na moje ciało.

– Marki Viking, z podwójnym piekarnikiem. Dobrze się składa, że będziemy mieli pieniądze.

– Chcesz kupić nową? Przecież dopiero co zrobiliśmy remont... Mmm, kotku, co ty tam robisz? – zapytał i aż się zachłysnął, gdy zaczęłam się na nim poruszać. Nie musiałam długo czekać, by mój mąż był znów gotowy.

– Każdy dobry cateringowiec potrzebuje kuchenki Viking – uśmiechnęłam się przekornie, widząc jego rozszerzone zdumieniem oczy.

– Jaki cateringowiec? I jaka kuchenka Viking?

– Z podwójnym piekarnikiem! Szczęśliwych walentynek, Timothy – wyszeptalam, a nasze złączone ciała znów rozpoczęły intymny taniec.

– Szczęśliwych... walentynek... najdroższa...

Zdobyta przez wikinga

Jennifer DeLucy

Wszystko zaczęło się od niezdrowego zauroczenia, dni spędzanych na rozmyślaniach o nim i nieustannym przywoływaniu w myślach jego obrazu. Nie potrafiłam zapomnieć o tym facecie, nie byłam w stanie zostawić go w spokoju. I mimo iż zdawałam sobie sprawę, jak absurdalnie się zachowuję, co dzień z utęsknieniem wyczekiwałam wieczora.

Bo on pojawiał się w snach.

Podobno nie można się zakochać w słowach. Nawet trudno to sobie wyobrazić. Gdyby jednak któreś z was się to przytrafiło – wyrazy współczucia, bo wtedy uznacie, że żaden realny mężczyzna nie jest dla was wystarczająco dobry. Nikt nie jest w stanie doścignąć ideału wykreowanego w umyśle.

Patrząc wstecz, wyraźnie widzę, jak słowa spływają na papier. Pisanie tamtej powieści ani przez moment nie było żmudnym obowiązkiem, raczej wyjątkowo silną obsesją, pragnieniem, którego nie sposób zlekceważyć i które prowadziło do udręki. Zajmowałam się pisaniem od prawie dwunastu lat, dzień w dzień pochylona nad klawiaturą, i mimo że napisałam wiele innych książek, żadna z nich nie pochłonęła mnie tak bardzo jak ta.

Kiedyś było zupełnie inaczej – pisałam dla innych. To, co tworzyłam, miało być ucieczką od rzeczywistości dla dręczonych problemami i tych, którzy szukają nowego spojrzenia lub inspiracji. Tym razem jednak pisałam dla samej siebie. Wkrótce to, co zrodziło się z kaprysu i czystej fantazji, zamieniło się w coś znacznie poważniejszego, nad czym zaczęłam tracić kontrolę.

Na początku próbowałam obwinić za tę sytuację innych. Powtarzałam sobie, że to wszystko przez niego – mężczyznę o odpychającym charakterze, którego każda świadoma oraz szanująca się kobieta momentalnie znenawidziłaby za szowinizm i prymitywne maniery. Ale było jasne, że to tylko i wyłącznie moja paranoja. Pielęgnowałam ją, niczym ćma lecąca do tego, czym powinnam gardzić – tubalnego głosu, zwalistej sylwetki i wszystkiego, co reprezentował sobą ów barbarzyńca, którego towarzystwa nie byłby w stanie znieść nikt oprócz tej, która go stworzyła.

Doszło do tego, że nie potrafiłam odróżnić rzeczywistości od fikcji, co więcej, nie miało to już dla mnie żadnego znaczenia. Zbyt mocno się zaangażowałam. Im dłużej pisałam, tym bardziej on stawał się tym, czym pierwotnie miał być – ideałem.

Automatyczna sekretarka w moim telefonie już kilka tygodni temu przestała spełniać swoją funkcję, zapchana wiadomościami, na które i tak nie miałam zamiaru odpowiadać. Nawet mój narzeczony dał za wygraną. Biedny Peter, wydawał mi

się tak odległy, jakby dzieliły nas tysiące lat świetlnych. Gdyby tylko wiedział... Nie, nie miał najmniejszych szans w porównaniu z Magnusem. Wady Petera, jego męczące potrzeby emocjonalne, cały ten niepotrzebny balast, jaki niesie ze sobą prawdziwy związek, wydawały mi się uciążliwe i irytujące. Nie wspominając o seksie. Kurczę, z Peterem bywało różnie. Trzeba mu oddać sprawiedliwość, że się starał i czasem było w porządku, ale nigdy nie miałam stuprocentowej pewności, że mnie nie zawiedzie. A kto lubi rozczarowania?

Dlatego sama, z własnej woli, skazałam się na samotność. Pozwoliłam, żeby wszyscy się ode mnie odsunęli, po to, bym mogła żyć we śnie. Dziś w nocy Magnus jak zwykle poprosi mnie, żebym z nim została. Postanowiłam, że tym razem się zgodzę. Nie chcę znów wracać do szarej rzeczywistości.

Budzik na szafce nocnej wskazywał dwudziestą drugą. Zwykle nie chodziłam spać tak wcześnie, ale cierpliwość nie należała do moich cnót. Ubrana jedynie w cienką koszulę nocną, położyłam się na zaścielonym łóżku i czekałam na sen.

Ale on nie nadchodził.

Przewracając się niecierpliwie z boku na bok, nie mogłam się już doczekać, aż pogrążę się w stanie nieświadomości. W pewnym momencie zaczęłam nawet obwiniać swoją oporną psychikę. Widocznie powoli dochodził do głosu mój zdrowy rozsądek... Zaraz się z nim rozprawię! Dobry żołnierz nie rusza do walki bez broni.

Sięgnęłam do szuflady w szafce nocnej po fiolkę ze środkami nasennymi i połknęłam pigułkę bez popijania wodą. To z pewnością pomoże rozwiązać mój problem.

Już po krótkiej chwili moje powieki nie były w stanie oprzeć się spowijającej oczy czarnej zasłonie. Kiedy znów je otworzyłam, znajdowałam się w dużej sali o ścianach z potężnych drewnianych bali. Z góry spoglądały na mnie wyrzeźbione na belkach złożone wizerunki bestii o dzikich oczach. Zawieszane na ścianach pochodnie rzucały tańczące cienie na podłogę i sufit. Pode mną rozciągała się gruba zwierzęca skóra o miękkim, puszystym włosiu. Rozłożył ją dla mnie, spodziewając się, że wrócę.

Dziś wieczorem miała się odbyć wielka uczta. Wiedziałam, bo sama ją wymyśliłam i opisałam.

Gdy tylko o tym pomyślałam, tuż obok rozległa się głośnie muzyka. Usłyszałam starodawną pieśń, gromką i triumfalną, która z pewnością brzmiała obco dla współczesnych uszu, ale ja już tu wcześniej bywałam. Wsparłam dłonie na ciepłym futrze i podźwignęłam się z podłogi, a potem ruszyłam za głosem rogów.

Chwilę później stałam w masywnych drzwiach, obserwując Magnusa w otoczeniu wojowników i ich kobiet. Śmiał się głośnie. Jego jasne włosy spływały na szerokie ramiona, ale nie zdołały całkowicie przesłonić wypalonych na nich śladów krwawych podbojów. Przyszły mi na myśl wszystkie bezlitośnie odebrane

przez niego życia oraz ziemie podbite i splądrowane w jego imieniu przez służących mu wojowników. Doskonale zdawałam sobie sprawę z tego, że ten mężczyzna jest symbolem zagłady. Byłam obecna przy tym, jak siekał swoich wrogów mieczem. Wymyśliłam każdą scenę bitewną, policzyłam ciała ofiar, opisałam jej następstwa. A mimo to, gdy go teraz obserwowałam, widząc jego błyszczące z dumy brązowe oczy i męską twarz, na której malował się wyraz satysfakcji i zadowolenia, byłam przekonana, że... go kocham.

W tej samej chwili, zupełnie jakby wyczuł moją obecność, uniósł głowę i szeroko się uśmiechnął. Potem podniósł się ze swojego miejsca, na co wszyscy wbili w niego zdumiony wzrok, zaskoczeni jego nietypowym zachowaniem. Było powszechnie wiadomo, że Magnus z Pfeldu, niepokonany książę wikingów, nigdy nie wstawał dla żadnego mężczyzny, nie mówiąc o kobiecie.

Podszedł do mnie szybko, zostawiając swoją kompanię.

– Bogowie znów mi cię zesłali – odezwał się, patrząc na mnie z góry. Był wielki jak dąb.

– Tak...

– Promieniejesz jaśniej od słońca. Czym dzisiaj pachniesz?

– Escadą – rzuciłam i uśmiechnęłam się pod nosem, dobrze wiedząc, że nie ma pojęcia, o czym mówię.

– Cóż za pięknie brzmiące słowo. Czy to jakiś kwiat?

– To jest... Trudno mi to wyjaśnić – odparłam.

– Ach, mniejsza z tym. Pójdź ze mną do mojego łóża. Sprawię, że będziesz śpiewała.

Zarumieniłam się, kiedy Magnus po raz pierwszy powiedział do mnie te słowa. Mówiąc szczerze, sama sobie byłam winna – to ja, autorka, kazałam mu się wysławiać w tak romantyczny sposób. Teraz już nie było odwrotu.

Choć zdążyłam już wcześniej dość dobrze poznać jego warownię, wziął mnie na rękę, jak miał w zwyczaju, zostawiając zaciekawionych towarzyszy i poziewienia z zazdrości kobiety w ich własnym małym świątku, i poniosł mnie znajomymi mi korytarzami do swoich komnat. Tam usadowił mnie na stercie futer i położył się obok.

– Słuchaj, Magnus, nie musisz zawsze mnie tu taszczyć. Wierz mi, znam drogę – zauważyłam.

– Nie lubisz spoczywać w moich objęciach? – spytał z szelmowskim uśmiechem.

– Eee... Nie, bardzo lubię. Ale mimo to dziękuję. Powtarzam ci to za każdym razem, a ty...

– Nie mam zamiaru tego słuchać – przerwał mi stanowczo. – Jesteś moją nałożnicą i będę z tobą robił, co mi się podoba.

Westchnęłam z rezygnacją. No tak. Muszę spróbować oduczyć go tej manie-

ry, skoro zamierzam tu zostać.

– Jak się dzisiaj miewasz? – spytałam, wyciągając rękę, by dotknąć jego twarzy.

– Moje lędźwie cię pragną. Pokażę ci, jak bardzo...

Parsknęłam, wydymając policzki od powstrzymywanego śmiechu, i pokiwałam głową na zgodę. Ta kwestia za każdym razem jednakowo mnie bawiła. I jeszcze to męczące poczucie winy: jak w ogóle mogłam pisać w ten sposób? Wstyd!

– Pokaż mi – poprosiłam, a wtedy Magnus ujął mnie za nadgarstek i przeciągnął moją dłoń po skórzanym kaftanie na wysokości bioder. Wsunęłam pod niego palce. Tak, jego... lędźwie były bardzo spragnione. Był nie tylko twardy jak skała, ale i wyjątkowo hojnie obdarzony przez naturę.

Przygryzłam wargę, sygnalizując w ten sposób swoją gotowość, na co on się pochylił i przywarł ustami do moich warg. Ależ potrafił całować! Pod dotykiem jego niesamowitego języka momentalnie miękły mi nogi (i wilgotniały inne części ciała).

Pocałunek tak mocno mnie podniecił, że nie czekając ani chwili, sięgnęłam do pasa podtrzymującego jego odzienie i zręcznym ruchem się go pozbyłam. Byłam w tym naprawdę dobra. Nie chwając się, robiłam to z taką samą wprawą, z jaką faceci rozpinają kobiece staniki.

Patrzyłam bez cienia wstydu, jak stoi przede mną nagi, co go wyraźnie cieszyło.

– Powiedz, czy nie jestem męski? Nie cieszę twojego oka? – spytał, wypinając z dumą klatkę piersiową.

Faktycznie, wykonałam kawał dobrej roboty.

– Jesteś idealny. Po prostu idealny.

– Pragnę to zdjąć – oznajmił, wskazując moje ubranie, usiadłam więc, pozwalając mu zsunąć przez głowę koszulkę. Przeciągnął palcem po cienkiej tkaninie, zafascynowany jej osobliwym wzorem i żywymi kolorami. – Ta jest najpiękniejsza ze wszystkich – stwierdził, odrzucając ją zwiniętą na bok.

– Cieszę się, że ci się podoba... to znaczyła podobała. – Roześmiałam się, zerkając wymownie na podłogę.

– O tak. Ale o wiele bardziej podoba mi się to, co znajduje się pod nią.

Pochylił się i pocałował mnie w szyję, co – trzeba przyznać – było bardzo przyjemne.

Rozkoszując się tym uczuciem, pogratulowałam sobie w duchu, że nie założyłam bielizny. Zdążyłam się już na własnej skórze przekonać, że Magnus – z oczywistych względów nienauczony trudnej sztuki rozpinania stanika – lubi wyładowywać swój gniew na kolejnych sztukach garderoby, ciskając je w ogień.

– Twoje piersi są piękniejsze niż księżyc w pełni. Kompletnie mnie zauroczyły – powiedział, wodząc po nich ustami.

Z trudem się powstrzymałam, by nie przewrócić oczami. Kiedy pierwszy raz wypowiedział te słowa, przeszedł mnie dreszcz. Za drugim razem też było mi przyjemnie, za trzecim jednak omal nie roześmiałam się w głos. Tym razem skończyło się na uśmiechu.

Plusem było to, że w odróżnieniu od prawdziwych wikingów, którzy raczej nie znali zbyt wielu wyrafinowanych sposobów na zaspokojenie kobiety (plądrowanie i zabijanie ze zrozumiałych względów nie zostawiało im dużo czasu na wczytywanie się w Kamasutrę), Magnus był zupełnie inny. Stworzyłam go sama, a to oznaczało, że nigdy, przenigdy, nie zawodził, wzorowo wypełniając obowiązki. Mogłam być go absolutnie pewna. Wiązała się z tym jednak drobna niedogodność – musiałam znosić irytujące samcze zapędy i całą tę otoczkę w stylu „jestem twoim panem i musisz mnie słuchać”, ale było to wpisane w nasz układ. Sama się w to wpakowałam. Było już za późno, żeby stworzyć sobie nowy obiekt uczuć, o bardziej postępowych poglądach. Już zdecydowałam, że tu zostaję.

Gdy jego nienasycone usta zachłannie i niestrudzenie penetrowały krągłości i zakamarki mojego ciała, wpadła mi do głowy pewna myśl. Ale najpierw...

– Pragnę znaleźć się w tobie – oznajmił.

Jak w zegarku...

– Eee... Magnus? – odezwałam się pytającym tonem.

– Mmm... – mruknął, rozszerzając mi uda.

– Słuchaj, pomyślałam sobie, że przydałaby się nam jakaś odmiana. Moglibyśmy urozmaicić naszą technikę.

Uniósł wzrok, wyraźnie zaskoczony.

– Co?

Za dużo trudnych słów?

– No wiesz, od czasu do czasu zrobić to inaczej. Rozumiesz, o co mi chodzi?

– Nie rozumiem.

– No dobra, to zrobmy tak: ja zaproponuję coś nowego, a ty zrobisz, jak mówię. Co ty na to?

– Ja mam robić, co ty każesz? – oburzył się, mrużąc gniewnie oczy. – Mnie nikt nie rozkazuje!

– Oczywiście. Miałam na myśli tylko to, że jesteś moim panem i możesz ze mną zrobić... coś innego. Chciałbyś spróbować?

– Coś... innego?

– Uhm. Mogę ci pokazać?

Nie odezwał się ani słowem, ale usiadł prosto. Wyglądał na skołowanego, zupełnie jakby czekał, aż dokręcę jakąś poluzowaną śrubkę w jego mózgu.

– Spróbujmy tego.

Odwróciłam się do niego tyłem, by zademonstrować, o co mi chodzi. Byłam święcie przekonana, że wiking musi wiedzieć, i to sporo, o – że się tak obrazowo

wyrażę – pozycji na pieska. Ale Magnus nie był autentyczny pod żadnym względem, dlatego pokręciłam zalotnie pupą, mając nadzieję, że się zorientuje. Po dłuższej chwili bezowocnego czekania odwróciłam głowę, a wtedy się okazało, że nadal gapi się na mnie, nie mając pojęcia, czego oczekuję.

– No dalej – westchnęłam, śmiejąc się pod nosem i sięgając ręką do jego wyprężonego członka. – Weź mnie od tyłu.

– Wziąć cię?

– No tak. Wejdź we mnie – poprawiłam się.

– Aha – odparł, patrząc na mnie zdziwionym wzrokiem. – Dobrze, spróbuję.

Wszedł we mnie mocnym pchnięciem, a ja momentalnie pogratulowałam sobie w duchu tego pomysłu. Było fantastycznie. Może jednak będzie lepiej, niż się spodziewałam? Może uda mi się go zmienić bez pisania, we własnej głowie?

Zerkając do tyłu, dostrzegłam, że Magnus zupełnie nie wie, co zrobić z górną częścią ciała. Spoglądał niepewnym wzrokiem na swoją prawą rękę, zaś lewą przycisnął niezgrabnie do boku. Jęknęłam bezradnie, a potem sięgnęłam w jego kierunku i przyłożyłam jedną z nich do piersi, a drugą oparłam na swojej talii, żeby łatwiej mu było utrzymywać równowagę. Teraz zostało mi tylko mieć nadzieję, że doczekam się nagrody. I rzeczywiście. Spisywał się rewelacyjnie. Jeśli w ogóle istniało coś, w czym Magnus był dobry, zdecydowanie to była jedna z tych rzeczy.

Jego potężne biodra do perfekcji opanowały mocne pchnięcia i choć robił to trochę zbyt mechanicznie, byłam już blisko, by znów dla niego „zaśpiewać”. Jeszcze tylko kilka razy w tym samym rytmie i...

Stęknęłam, gdy nagle przewrócił mnie na plecy i zaczął się we mnie poruszać w tradycyjnej pozycji misjonarskiej. Cudowne uczucie zbliżającego się spełnienia momentalnie się ulotniło.

– Magnus, co ty robisz? – spytałam z niezadowoleniem.

Stęknął, nie przerywając szturmu na moje ciało.

– Miałeś to robić inaczej, pamiętasz?

– Tak lubię najbardziej – odparł, kontynuując rytmiczne pchnięcia.

– Tak... lubisz najbardziej – powtórzyłam z lekką irytacją.

Nie tak miało to wyglądać. Powinien być taki, jak sobie życzyłam, w przeciwnym razie jaki sens tworzyć dla siebie faceta od zera?

– Tak... powinno... być... – wystękał, nadal wdzierając się we mnie bez opamiętania.

Kolejny raz wydałam z siebie zrezygnowane westchnienie. No trudno, tak też było dobrze. Był panem i władcą, i tak dalej w ten deseń... Zamknęłam oczy i poddałam się jego rytmowi, jak zwykle oplatając go ciasno nogami, żeby pogłębić doznania. Zgodnie z oczekiwaniami jego nieokiełznany zapał doprowadził mnie już prawie na skraj orgazmu, gdy nagle przez głowę przeszła mi pewna myśl. Cała ta sytuacja wyglądała tak, jakbym używała wielkiego i bardzo atrakcyjnie prezentu-

jącego się dilda!

Moje serce zamarło.

Czy rzeczywiście pragnęłam niekończącej się rutyny, która zawsze daje spełnienie i nigdy nie zawodzi? Czy on w ogóle był w stanie pod tym względem mnie zawieść? A idąc dalej tym tropem, czy faktycznie wierzyłam, że niebezpieczeństwo porażki to coś strasznego? Przecież ryzyko jest istotą naszego życia. Czy nie lepiej nie wiedzieć, co się nam przydarzy? Może to na zawsze zmieni nasze życie, a może wręcz przeciwnie, dostarczy rozczarowań? Co ja sobie wyobrażałam? Przecież to wszystko nie ma sensu. Nie mogłam tu zostać!

Utwierdzając się w tym postanowieniu, całkowicie straciłam kontakt ze swoim ciałem, a wtedy załała mnie potężna – i po raz pierwszy niespodziewana – fala orgazmu, aż wydałam z siebie głośny okrzyk, zaskoczona jej siłą. To był prawdziwy wybuch rozkoszy.

Po raz ostatni śpiewałam dla Magnusa.

Opadając ciężko obok mnie, mój zaspokojony zdobywca przełożył niedbale ramię przez moją talię, przyciągając mnie do piersi.

– Allison – odezwał się rozleniwionym głosem.

– Tak?

– Zostań ze mną – wyszeptał.

Wypuściłam powietrze z płuc i poklepałam go po dłoni.

– Nie dzisiaj – odparłam, a potem zamknęłam oczy.

Obudziłam się gwałtownie wyrwana ze snu. Kiedy sobie uświadomiłam, gdzie jestem, odetchnęłam z ulgą. Spoglądając przez otwarte drzwi sypialni na ruinę, w jaką zamienił się mój dom, przejrzałam na oczy i zobaczyłam wszystko w innym świetle. Jestem pewna, że wiecie, co mam na myśli. Chyba każdy doświadczył w życiu chwili, gdy budzi się ze stanu uśpienia, czymkolwiek by on nie był. Nie da się jej porównać z niczym innym, ale jednocześnie ten moment budzi... przerażenie. Zwykle zadajemy sobie wtedy pytanie: co dalej?

Wstałam z łóżka i przesłam cichutko na palcach do salonu. Stałam obok biurka i zapatrzyłam się na wydruk powieści *Magnus z Pfeldu, książkę wikingów*, w której kryły się moje urojenia. Nie musiałam się długo zastanawiać co robić.

Zdecydowanym ruchem sięgnęłam po zapalniczkę i kilka szczap drewna. Wrzuciłam wszystko do kominka, obserwując, jak mały płomyk zmienia się w buchające ogniem miniaturowe piekło. Wzięłam do ręki zapisane kartki i nie wahając się dłużej niż sekundę, cisnęłam je prosto w ogień.

Kiedy pozostał z nich tylko popiół, a pokój wypełnił się drażniącym zapachem dymu, postanowiłam, że jeszcze dziś zacznę pisać nową powieść. Będzie to historia kobiety, która zbłądziła, tracąc perspektywę i dystans. Wyjdzie z tego po-

nurego doświadczenia silniejsza i znów stanie się sobą, doceniając piękno życia. To będzie triumfalne dzieło.

Rozdział pierwszy zaczął się od tego, że wzięłam do ręki telefon i wykręciłam numer, z przyjemnością wsłuchując się w dudniący sygnał. Dzwonił i dzwonił, a ja czekałam. Już miałam zrezygnować, gdy nagle usłyszałam półprzytomny głos:

– Słucham?

– Peter? Obudziłam cię?

– Uhm. – Usłyszałam, jak przekręca się na łóżku. – Ale nie szkodzi. Do jasnej cholery, co się z tobą działo? Czemu nie odbierałaś telefonów? Wszyscy się o ciebie martwią, Allison.

– Wiem, przepraszam. Byłam... Wiesz, jak to jest, kiedy ma się napięte terminy... To już się nie powtórzy, obiecuję.

Nigdy więcej.

Nie obchodzę walentynek

Nicki Elson

Nie obchodzę walentynek.

To była jedna z pierwszych rzeczy, jakiej Jason dowiedział się na temat Victorii.

– Sztuczne, komercyjne święto rozreklamowane tylko po to, by zwiększyć sprzedaż w martwym sezonie. Jeśli będę chciała powiedzieć komuś, że go kocham, zrobię to, kiedy sama zechcę, i nie zmusi mnie do tego spisek korporacji – oznajmiła stanowczo po kilku tygodniach znajomości.

Jason nie był w stanie powstrzymać uśmiechu.

– A nasze święto narodowe? Ono też ci przeszkadza?

Byli akurat w drodze na imprezę organizowaną przez jego przyjaciela z okazji 4 lipca.

– Ależ skąd, bardzo cenię wolność i niezależność – uśmiechnęła się i zwichrzyła jego jasne włosy.

Uwielbiała w nim to, że nie zrażały go jej wyraziste poglądy. Mimo że miał tylko dwadzieścia sześć lat, czyli był o dwa lata młodszy, odpowiadał jej bardziej niż starsi faceci, z którymi wcześniej chodziła. Do tego stopnia, że osiem miesięcy później nadal byli razem.

Nadeszły walentynki. W tym roku przypadały w czwartek, który Jason i Victoria określali jako „dzień dla siebie”. Bardzo rzadko zdarzało im się wtedy spędzać wieczór razem, bo Victoria nie chciała opuszczać swojego ulubionego reality show. Jason nie podzielał jej upodobania, więc wykorzystywał czas wolny na własne hobby – gry na xboxie – co z kolei niespecjalnie interesowało Victorię.

Uważała, że nie ma sensu zmieniać tego jak dotąd wzorowo funkcjonującego układu tylko dlatego, że w czwartek wypadają walentynki, tak się więc złożyło, że w ogóle nie zamierzali się spotkać w walentynki.

Victoria była zadowolona. Żadne z nich jeszcze nie wypowiedziało wielkiego słowa na „k”, a ona nie chciała, żeby stało się to pod presją jakiegoś komercyjnego święta. Dlatego tamtego ranka weszła do biura bez cienia żalu, a gdy recepcjonistka na jej widok zawołała: „Miłych walentynek!”, odpowiedziała jej w równie entuzjastycznym tonie: „Miłego czwartku!”.

Zanim nadeszło południe, do biura zaczęły napływać zwyczajowe bukiety i czekoladki. Victoria z pogardą obserwowała ze swojego boksu, jak przed jej oczami przesuwały się kolejne wiehcie absurdalnie drogich czerwonych róż i różowych goździków, kupionych nie z serca, ale pod przymusem. Nie miała zamiaru brać udziału w tej farsie, nie przeszkodziło jej to jednak poczęstować się absurdalnie drogimi czekoladkami, które dostała Margie, koleżanka w średnim wieku z są-

siedniego boksu.

– Mmm... są wyszmienite – wymamrotała z ustami pełnymi czekolady.

– Uhm, pierwszorzędne – potwierdziła Margie, wzdychając. – Wszystko wskazuje na to, że wieczorem będę się musiała odwdzięczyć mężulkowi – dodała, mrugając porozumiewawczo.

– Aha, więc pójdziesz z nim do łóżka za czekoladę – roześmiała się Victoria, oblizując koniuszki palców.

Margie wzruszyła ramionami.

– Nie za byle jaką czekoladę, tylko belgijską. A jak u ciebie? Co ci posyła twój amant, żebyś się dała skusić?

Victoria pokręciła głową.

– Nie obchodzę walentynek.

– Jak to nie obchodzisz?

– Normalnie, nie świętuję. Dla nas to po prostu zwykły dzień. Nic od niego nie oczekuję i on też nie spodziewa się niczego z mojej strony.

– Ale chyba pójdziecie wieczorem do jakiejś knajpki albo ugotujesz mu coś specjalnego?

Na twarzy Margie malowała się szczerza troska.

– Może sobie iść, ale na pewno nie ze mną. W ogóle się dziś nie spotykamy.

– Ojej, biedactwo! – wykrzyknęła Margie, siadając obok Victorii na przysuniętym krześle i łagodnym ruchem ujmując jej dłoń. – Zerwaliście? Tak mi przykro. Przepraszam, że cały czas nawijam o walentynkach...

– Ależ nie, wcale nie zerwaliśmy. Świetnie się nam układa, po prostu super. Chodzi o to, że ja nie przepadam za walentynkami, bo wydają mi się sztuczne i wymuszone. Jason to rozumie i dlatego nie świętujemy.

Margie puściła dłoń Victorii, wyprostowała się na krześle i obrzuciła ją zdumionym spojrzeniem.

– Rozumiem, jesteś jak Grinch, który nie cierpi dnia zakochanych. Można i tak. Zauważ tylko, że nikt na siłę nie wpychał ci czekoladek do gardła.

– Mam ci je oddać? Daj mi chwilę, zobaczymy, czy uda się je zwrócić – żartowała Victoria.

– Daruj sobie – odparła cierpko Margie. – Mam do ciebie tylko jedną prośbę – jeśli kiedyś przyprowadzę swoje dzieci do biura, nie mów im, że Święty Mikołaj nie istnieje, dobrze?

– Margie... – zaczęła Victoria, ale ona zerwała się z krzesła i pośpiesznie wróciła do swojego biurka.

Victoria ciężko westchnęła, kręcąc z niesmakiem głową. Zawsze to samo. Czemu innym tak trudno to zrozumieć? Nie miała nic przeciwko, żeby sobie świętowali. Dlaczego to dla nich taki problem? Nie była żadnym Grinchem, co za pomysł!

Chociaż... może trochę?

Nie zawsze czuła awersję do dnia zakochanych. Wręcz przeciwnie, w dzieciństwie to było jej ulubione święto. Uwielbiała wypisywać kartki, przepadała za klasowymi imprezami walentynkowymi. Kiedy wszystko się zmieniło?

Siedząc za biurkiem i wpatrując się niewidzącym wzrokiem w raport, który powinna w tej chwili analizować, przypomniała sobie tamten dzień: 15 lutego, ostatni rok studiów.

Adam.

Od początku wiedziała, że miał opinię podrywacza, ale już od kilku miesięcy robili do siebie słodkie oczy – nieważne, czy akurat był z kimś, czy nie. Kiedy wreszcie się z nią umówił, uznała, że to ten jedyny, łudząc się, że przy niej się zmieni.

W lutym chodzili już ze sobą na poważnie. Victoria od dwóch tygodni pracowicie przymocowywała cukierki do wygiętego w kształt serca drucianego wieszaka, żeby podarować mu słodki prezent na dzień zakochanych. Gdy go dostał w walentynkowy wieczór, powiedział, że jest cudowny, tak samo jak ona, i że ją kocha, a ona mu uwierzyła.

Jednak już następnego dnia przyłapała go z inną, a kiedy spytała rozwścieczona, po co dzień wcześniej wyznawał jej miłość, odparł po prostu: „Przecież były walentynki, musiałem”.

Jak to możliwe, że Adam należał do tego samego gatunku co Jason? Większość dziewczyn już by się niecierpliwiła, gdyby po ośmiu miesiącach związku nie usłyszała od faceta wyznania, ale Victoria ceniła jego powściągliwość. Nie chciał używać wielkich słów, dopóki nie był całkowicie pewny.

– Hej, Ebenezer, mam dla ciebie nowe raporty – rozległ się głos Margie, która przerzuciła na jej biurko stertę papierów nad rozdzielającą ich boksy przegrodą.

– Ebenezer to Scrooge, nie Grinch.

– A co to za różnica?

Trish, która akurat przechodziła, oczywiście nie omieszkała obrzucić spojrzeniem boksu Victorii.

– Oj, żadnych kwiatów? – spytała z udawaną troską.

– Zapowiedziała mu, że ma nic nie przysyłać – pospieszyła z wyjaśnieniem Margie.

– Nic podobnego – sprostowała Victoria. – Nie mówimy sobie, co robić, a co nie. Powiedziałam mu tylko, że nie musi się czuć zobowiązany, że niczego nie oczekuję. Ale oczywiście jeśli ma ochotę przysłać mi kwiaty, zawsze może to zrobić.

– Naprawdę? – spytała Margie, wstając od biurka i wyglądając ze swojego boksu. – I co zrobisz, jak przyśle Ci kwiaty? Wsadzisz je z uśmiechem do komin-ka?

– Nie, wsadzę je sobie gdzie indziej – odparowała wścibskiej koleżance Victoria, unosząc ostrzegawczo brew.

– No właśnie – rzuciła Margie, wracając do pracy.

Trish też się zdziwiło szpiegowanie i poszła w swoją stronę, zostawiając Victorię pogrążoną w rozmyślaniach: jak powinna się zachować, jeśli Jason rzeczywiście przyśle jej kwiaty? Będzie wkurzona, to pewne. Ale ostatecznie to przecież nie będzie typowy bukiet walentynkowy. On wie, że Victoria się go nie spodziewa, więc tak naprawdę wyśle go, bo chce, a nie dlatego, że musi. Stał jej przed oczami bukiet stojący w wazonie na rogu biurka. Na pewno nie czerwone róże na długich łodygach, o nie, to oklepane. Może żonkile – zwiastuny wiosny? Wyobraziła sobie, jak wyciąga spomiędzy nich kartkę, na której zamiast kiczowatego serca znajdują się tylko trzy słowa: „Tak po prostu”. Szczere, bezpośrednie, urocze – cały Jason.

Zerknęła do skrzynki e-mailowej, wahając się, czy nie wysłać mu krótkiej wiadomości – nic sentymentalnego czy cukierkowego – żeby wiedział, że o nim myśli w ten zwyczajny, nieróżniący się od innych czwartek. Okazało się, że chyba wpadł na podobny pomysł, bo przysłał jej e-mail zatytułowany: „Która ci się najbardziej podoba?”, do którego wkleił cztery linki.

Nie miała pojęcia, co w nich jest. Może jej ulubione piosenki o miłości? Albo adresy zacisznych pensjonatów na weekendowy wypad? Miała nadzieję, że nie będzie musiała mu jutro zmyć głowy za to, że złamał zasady i uległ walentynkowemu wariactwu, choć mu tego zakazała. Co jak co, ale pościelowe piosenki nie były w stylu Jasona. I za to między innymi tak bardzo go ceniła – kiedy od czasu do czasu decydował się na romantyczny gest, miała poczucie, że to naprawdę coś.

Otworzyła pierwszy link, a wtedy ku jej zdumieniu ukazało się zdjęcie niewielkiej czarnej szafki z podpisem: „Przeznaczona pod telewizor o maksymalnym rozmiarze ekranu 44 cali”. W tym momencie jedyną osobą, której należałoby zmyć głowę, była ona sama. Jej chłopak nie wysłał jej romantycznych ballad – po prostu szukał nowej szafki pod telewizor i chciał się jej poradzić.

Przejrzała jego propozycje, a potem odesłała zdjęcie tej, która się jej najbardziej podobała, podpisując się „V” i dodając uśmiechniętą buźkę. Potem zabrała się za raporty, starając się nie dopuszczać do siebie myśli o pustym miejscu na biurku, gdzie wcześniej wyobrażała sobie kwiaty.

Po raz pierwszy dopadły ją wątpliwości – a może jednak nie miała racji, upierając się, by dziś nie świętować? Zaraz jednak przypomniały jej się jeszcze jedne walentynki z przeszłości, utwierdzając ją w przekonaniu, że postąpiła właściwie.

Nie chcąc, by święto zakochanych już zawsze kojarzyło jej się z Adamem, rok później zgodziła się spotkać z kolejnym facetem, choć miała sporo wątpliwości.

Shepherd.

Robił wrażenie całkiem sensownego gościa, ale słabo się znali i chyba dlatego zbyt mocno poddali się presji walentynek i tej całej ich otoczki. Po uroczystej kolacji odwiedzili kilka barów i wszędzie, gdzie usiedli, Shepherd natychmiast zaczynał jej wpychać niecierpliwy język do gardła. W innych okolicznościach nie miałyby skrupułów, żeby go utemperować, ale wtedy bardzo jej zależało na romantycznej randce, więc zacisnęła zęby.

Przecież były walentynki.

Victoria aż się wzdrygnęła, przypominając sobie, ile śliny musiała wymienić z tym natrętnym facetem przez to cholerne sztuczne święto. Najgorsze było jednak to, jak się obijał zębami o jej zęby za każdym razem, gdy szerzej otwierał usta. Zupełnie jakby próbował ją pożreć. Znowu otrząsnęła się ze wstrętem, na dobre wyrzucając Shepherda z pamięci.

Wyciągnęła ze sterty jeden z raportów, ale gdy go tylko otworzyła, jej myśli powędrowały do Jasona. Nigdy nie uważała ich pocałunków za wymuszone czy nieprzyjemne. W niczym nie przypominały ciągłej walki, jaką musiała staczać z Shepherdem. Nie żeby Jason unikał głębokich pocałunków, wręcz przeciwnie. Ale nigdy od nich nie zaczynał ani się nie spieszył, a gdy już przechodził do sedna, wtedy... mmm... Prawdziwy odlot.

Zreflektowała się, że jeśli ma dotrzymać danego sobie słowa i nie spotkać się dziś z Jasonem, musi jak najszybciej skierować swoje myśli na inne tory. Na przykład skupić się na raporcie.

Trzy kolejne walentynki po historii z Shepherdem spędziła samotnie. To nie było zamierzone, po prostu tak wyszło. W ciągu tych trzech lat doceniła brak przymusu uczestniczenia w męczących rytuałach. Dotarło do niej, że tak naprawdę wcale nie chodzi o świętowanie miłości, a zwiększenie sprzedaży. Cały ten komercyjny szum skłania ludzi do mówienia i robienia rzeczy, na które wcale nie mają ochoty, zupełnie jakby wszechobecne w tym dniu słodczyce w kształcie serc zawierały domieszkę jakiegoś narkotyku. Jednym słowem, fałsz i kicz, z którymi nie chciała mieć nic wspólnego.

Dwa lata temu znowu była w związku, ale gdy zbliżał się ów feralny dzień, nie zamierzała zmieniać zdania i pozbywać się uprzedzeń. Nie była hipokrytką i nie chciała brać udziału w całym tym zakłamaniu tylko dlatego, że w jej życiu pojawił się fantastyczny facet.

Martin.

– Nie obchodzisz walentynek w ogóle czy nie chcesz ich obchodzić ze mną?
– dopytywał.

– Nie obchodzę w ogóle – wyjaśniła, a potem przeciągnęła zalotnie palcami po jego klatce piersiowej i dodała: – Ale mogę świętować z tobą... 15 lutego.

– I inni faceci nie mieli nic przeciwko temu? – spytał zaczepnie.

– Technicznie rzecz ujmując, jesteś pierwszym, któremu to proponuję.

– To jakaś bzdura – wybuchnął, chwytając ją za nadgarstek, zanim zdążyła zanurzyć palce w jego gęstej czuprynie. – Albo jesteście parą i wychodzimy gdzieś razem w walentynki, albo...

– Albo co?

– Albo się rozstajemy – dokończył, wypuszczając jej rękę z uścisku.

– To szantaż? Nie łatwiej byłoby ci mnie ogłuszyć i zaciągnąć do restauracji? – powiedziała na wpół serio, na wpół żartem Victoria.

– Mówię poważnie. Mamy rezerwację na dwudziestą w Vincenzo. Albo przyjdiesz, albo koniec z nami.

Victoria nie potraktowała jego pogroźek serio. Zdawała sobie sprawę, że jej poglądy są dość niekonwencjonalne, ale należało się jej nieco więcej szacunku. Poza tym oczekiwała, że ponadtrzydziestoletni facet jest wystarczająco dojrzały, żeby to zrozumieć. Na dodatek zawsze twierdził, że kobieta powinna być silna i niezależna, czuła się więc usprawiedliwiona, że nie złamała swoich zasad i nie poszła do restauracji. W rewanżu już do niej nie zadzwonił. Nigdy więcej.

I tak kolejny dzień zakochanych nie przyniósł jej nic prócz rozczarowania. Początkowo czuła się oburzona i zraniona oślim uporem Martina, szybko jednak doszła do wniosku, że w zasadzie dobrze się stało, bo już na samym początku związku przekonała się, jaki z niego zaborczy świrus. Miała szczęście, że się go pozbyła.

Mimo to czuła lekki niepokój, gdy dwa tygodnie temu postanowiła oznajmić Jasonowi, że nie chce świętować walentynek. Nie nalegał, nie odwodził jej od tej decyzji ani się nie zdenerwował, ujął tylko jej twarz w swoje dłonie i lekko przechylił, by spojrzeć prosto w jego mądre, przenikliwe oczy.

– Jesteś pewna?

Victoria uśmiechnęła się.

– Całkowicie pewna.

Wszystko zrozumiał...

Nagle do biurka zamyślonej Victorii podeszła Trish, niosąc w rękach białą różę w doniczce owiniętej czerwoną folią.

– Byłam w recepcji, gdy ją dostarczyli – zaświergotała.

Róże doniczkowe. Nietuzinkowe, praktyczne, przemyślane – cały Jason.

Trish wyciągnęła rękę z kwiatem w kierunku Victorii, po czym momentalnie je cofnęła.

– Zmyłka! To dla Hermana! – zawołała triumfalnie i szeroko uśmiechnięta odwróciła się i poszła w kierunku biura kolegi.

Victoria pokazała język oddalającym się plecom koleżanki i w tym samym momencie z boks Margie dobiegł ją zgryźliwy śmiech.

– Do roboty, Cratchit²⁾ – burknęła Victoria.

2) Pracownik w sklepie Scrooge'a; postać z *Opowieści wigilijnej* Dickensa

(przyp. tłum.).

– Gadaj zdrów – odcięła się Margie, na co Victoria porwała pierwszy z brzegu długopis i przerzuciła go przez przegrodę do boksu koleżanki.

Godziny pracy nieuchronnie zbliżały się do końca, a przesyłka od Jasona wciąż nie nadchodziła. Zakładając płaszcz, Margie zauważyła:

– Przynajmniej wiesz, że masz posłusznego chłopaka.
– Nie posłusznego – poprawiła ją Victoria – ale rozsądnego i tolerancyjnego.
– Tak, tak – pokiwała z politowaniem głową Margie. – Może wysłał ci kwiaty do domu.

Victoria przewróciła oczami, ale w duchu przyznała jej rację. Gdyby Jason chciał podarować jej kwiaty, pewnie zrobiłby to dyskretnie. I tak wolałaby cieszyć się nimi w swoim domu niż w pracy. Ale w drzwiach mieszkania nie czekała żadna wiadomość o przesyłce z kwaciarni. Kurier nie pojawił się też, gdy podgrzewała mrożoną pizzę. Jedyne, co dostała od Jasona, to króciutki SMS z pozdrowieniami.

W czwartkowe wieczory zwykle przychodziły koleżanki na wspólne oglądanie telewizji, ale ponieważ żadnej z nich nie udało się przeciągnąć na stronę frakcji antywalentynkowej, spędzały dzisiejszy wieczór na randkach. Ale Victoria wcale się nie zmartwiła – pizza, wino i ulubiony program w telewizji w zupełności jej wystarczały.

W miarę oglądania akcja robiła się coraz ciekawsza, a uczestnicy reality show ostro walczyli, by utrzymać się w programie. Niestety w wyniku głosowania jeden z nich musiał odejść. Zupełnie sam.

Patrząc na niego, pomyślała o Jasonie. Czyżby skazała go dziś na samotność? Dał jej do zrozumienia, że decyzja o wspólnym wieczorze należy wyłącznie do niej, a ona nawet nie zapytała, czego on chce. No, pięknie. Nagle dotarło do niej z całą mocą, jaka z niej egoistka. Może chciał spędzić walentynki z nią, a ona go odtrąciła?

Zerwała się i sięgnęła po komórkę, a potem nalala sobie jeszcze jeden kieliszek wina i znów opadła na tapczan. Odszukała jego ostatni SMS, żeby się zorientować, czy nie da się z niego wyczytać, że jest na nią obrażony.

„Cze! C u cb? 3M”

Nie, na pewno nie był obrażony, zachowywał się naturalnie. Cały Jason. Za to go podziwiała. Rzadko się irytował i zawsze starał się studzić jej emocje, gdy coś było nie tak. Wpatrując się w jego wiadomość, uświadomiła sobie, że nie słyszała dziś jego głosu. A tak bardzo tego chciała. Już miała wybrać jego numer, gdy się zawahała, bo nigdy wcześniej nie dzwoniła do niego w czwartki wieczorem.

– Niech to szlag! – zaklęła pod nosem.

Bardzo jej zależało, żeby go usłyszeć, choć szczerze mówiąc, chciała czegoś więcej – zobaczyć się z nim. Myśl o Jasonie przez cały dzień nie dawała jej spokoju. Za każdym razem, gdy sobie o nim przypominała, czuła, jak jej umysł się rozjaśnia, jakby opadała jakaś zasłona. Jason miał wszystkie zalety, jakich szukała u mężczyzn – był wrażliwy, bezpośredni, uczciwy, praktyczny, troskliwy, tolerancyjny i diabelnie seksowny. Ale przecież do jutra się nie zmieni, trzeba poczekać...

„Cholerne walentynki” – pomyślała Victoria, siedząc bez ruchu i wpatrując się w niewiele przydatną w tym momencie komórkę. Przyszło jej do głowy, że nie cierpi ich również za to, że odbierają ludziom swobodę i dyktują im, co mają czuć i jak się zachowywać. Jeśli nie zadzwoni do Jasona, bo jest dzień zakochanych, czy sama też nie pozwoli sobą manipulować? Oczywiście, że tak.

A przecież jej uczucia do niego nie miały nic wspólnego z tym przeklętym świętem. Nie kochała go dlatego, że w kalendarzu akurat wypadł ten dzień. Kochała go, bo...

Jasny szlag! Kocha go!

Victoria musnęła opuszką palca wyświetloną na ekranie wiadomość od Jasona, uświadamiając sobie nagle, że wie o tym od dawna, ale dopiero teraz jest gotowa wypowiedzieć to wielkie słowo na głos.

– Jezu, tylko nie to – jęknęła. – Nie w walentynki.

Teraz już na pewno nie wolno jej do niego zadzwonić.

Chyba że...

Gdyby do niej przyszedł, nie byłoby jej trudno go przekonać, żeby został do rana. Czy będzie w stanie utrzymać język za zębami? Z pewnością.

W obawie, że zaraz się rozmyśli, pospieszenie wybrała numer Jasona. Przykładając telefon do ucha, roześmiała się, bo podejrzewała, że cierpliwie czekał, aż ona się złamie i jednak zadzwoni.

Odebrał po drugim dzwonku.

– Cześć, skarbie.

Na dźwięk jego głosu Victoria poczuła krew napływającą do głowy.

– Cześć. Co robisz?

– Jestem z kumplami. Idziemy do IMAX-a na *Sadystę*.

– Aha, to wam zejdzie ze trzy godziny.

Zerknęła na zegarek – było dwadzieścia pięć po dwudziestej – a wtedy jej uśmiech przygasł, a rumieńce pobjadły.

– Mniej więcej. Słuchaj, już wchodzimy, muszę kończyć...

– Jasne. To cześć – odpowiedziała i pospieszenie się rozłączyła.

Po co w ogóle do niego zadzwoniła? Dlaczego nie mogło być jak zawsze? Obejrzałyby następny program, coś przeczytała, a potem poszła spać. Ale nie, wolała wyjść przed szereg, żeby...

No właśnie: żeby co?

Żeby się dowiedzieć, że Jason spędza miło czas w walentynki bez niej, tak jak mu kazała? I że wcale nie czeka, aż królowa Victoria wezwie go do siebie?

Jasne, że nie siedział sam w domu, usychając z tęsknoty. Kolejną cechą, jaką mogła dodać do listy jego zalet, była niezależność. Ale mniejsza z tym. Jej sytuacja niczym się nie różniła od tej sprzed pięciu minut, dlaczego więc nagle ogarnął ją strach? Próbowwała się go pozbyć, ale na próżno. Tamten telefon – jeden głupi, bezsensowny telefon – sprawił, że wszystkie jej przekonania okazały się ułudą. Początkowo zakładała, że Jason zgodził się nie obchodzić walentynek, bo szanował jej poglądy, teraz jednak pomyślała, że może chodzi o coś innego – żeby nie spędzać ich z nią.

Rozsądek wskazywał, że wyciąga zbyt daleko idące wnioski z ledwie dwudziestosekundowej rozmowy telefonicznej, ale było jeszcze coś takiego, jak kobieca intuicja. I to właśnie ona w parze z wypitym winem podpowiadała Victorii, że najprawdopodobniej zakochała się w facecie, który nie odwzajemnia jej uczuć. Cóż, w zasadzie powinna się cieszyć, że dowiedziała się o tym odpowiednio wcześnie, tak jak w przypadku Martina, ale tym razem nie czuła satysfakcji. Prawdę mówiąc, wolałaby pozostawać w nieświadomości nieco dłużej.

W końcu podniosła się i wylała do zlewu resztkę wina z butelki.

– Głupie walentynki... – wymamrotała, przyglądając się, jak ostatnie krople trunku znikają w odpływie.

Nie powie Jasonowi, że go kocha. Na pewno nie zrobi tego pierwsza, a kto wie, czy kiedykolwiek usłyszy to od niego.

Teraz Victorii zależało już tylko na jednym – żeby w końcu mieć za sobą kolejny feralny dzień zakochanych. I choć nie minęła jeszcze dziewiąta, przebrała się w piżamę i położyła do łóżka. Chwilę poczytała, a potem szybko odpłynęła w sen.

Obudziła się gwałtownie, wyrwana ze snu przez natarczywe dzwonicie. Wyciągnęła rękę i z rozmachem uderzyła otwartą dłonią w przycisk budzika, ale hałas nie ucichł. Spojrzała na świecące na czerwono cyfry na wyświetlaczu – była minuta po północy – i dopiero wtedy do niej dotarło, że ktoś dzwoni do drzwi.

– Co u diabła...

Zwlokła się z łóżka, wciągnęła bluzę, a potem ostrożnie podeszła do drzwi i spojrzała przez wizjer.

Jason.

– Kompletny świrus – wyrwało się jej ze śmiechem, gdy odciągała zasuwę.

Jason trzymał w wyciągniętych rękach piękny bukiet.

– Szczęśliwego 15 lutego!

Victoria przekrzywiła lekko głowę, ściągając brwi. Czy to tylko sen, czy na progu rzeczywiście stoi Jason z kwiatami?

– Nic nie mówiłaś o następnym dniu.

Uśmiechnął się przebiegle i zrobił krok, żeby pocałować Victorię w zmarsz-

czone czoło.

– Jason... ja...

Wciąż miała wrażenie, że jeszcze nie do końca się obudziła. W tej samej chwili usta Jasona zasypały jej twarz pocałunkami, powoli zbliżając się do jej warg. Zrzuciła mu ręce na szyję i rozchyliła usta, pozwalając, by ich wargi stopiły się w jedno. Nawet jeśli to był tylko sen, to bez wątpienia najcudowniejszy w całym jej życiu.

Po chwili Jason odsunął się lekko, nie odrywając dłoni od jej policzka i delikatnie gładząc kciukiem jej wargi. Tak bardzo chciała mu w tym momencie powiedzieć TO słowo, ale zacisnęła mocno powieki i siłą woli udało się jej powstrzymać.

– Wiktorio...

– Tak?

– Kochanie, czy zgodzisz się spędzić ze mną walentynki?

Victoria otworzyła oczy. Najwyższa pora odpuścić. Jeśli ten fantastyczny facet zdecyduje się kiedyś powiedzieć, że ją kocha, czy będzie miało znaczenie, w jaki dzień to zrobi? Z emocji głos uwiązł jej w gardle, pokiwała więc tylko głową na zgodę. Na ten widok usta Jasona rozciągnęły się w szerokim uśmiechu.

– Jeszcze jedna rzecz – rzucił, odgarniając opuszkami palców włosy z jej czoła. – Kocham cię.

Victoria nie wytrzymała i z jej oczu popłynęły łzy. To nie był cichutki szloch, ale najprawdziwszy wybuch. Płakała tak bardzo, że aż trzęsły się jej ramiona, próbując jednocześnie wykrztusić, że ona również go kocha.

Musiła jednak poczekać, aż trochę się uspokoi, żeby Jason zdołał zrozumieć, co mówi. Rzadko jej się zdarzały takie wybuchy, ale dziś poczuła się dokładnie tak, jak musiał się czuć w świąteczny poranek Grinch, gdy jego serce urosło o trzy rozmiary. Walentynkowa kłątwa została zdjęta. Victoria nareszcie była zakochana w kimś, kto również całym sercem ją kochał.

Stać cię na więcej

Jessica McQuinn

Brady Jansen ocknął się ze snu, czując na karku czyjś ciepły oddech. Niechętnie uchylając jedną powiekę, zerknął na wyświetlacz zegara ustawionego na toalecie. Serce zabiło mu szybciej, bo świecące na czerwono cyfry wskazywały jednoznacznie, że jest siódma dwadzieścia cztery, co oznaczało, że spóźni się do pracy.

Poczuł nagły przypływ paniki, na szczęście szybko sobie przypomniał, że przecież jest sobota. Cudowna, leniwa, wolna od pracy sobota...

Na tę myśl Brady odwrócił się na drugi bok, chcąc objąć żonę, ale zamiast niej zobaczył ogromne błękitne oczy i lepką od syropu klonowego buzię ich czteroletniej córki Ryann.

– Tatusię się obudził! – wrzasnęła, po czym wyskoczyła z łóżka i wypadła jak strzała z pokoju.

– Cholera! – zaklął pod nosem, uświadamiając sobie, że to wcale nie będzie cudowna, leniwa, wolna od pracy sobota, ale koszykówka, prace wokół domu, dzieci...

Innymi słowy, będzie taka sama jak poprzednie.

Brady jęknął i zasłonił ramieniem oczy, wracając myślami do początków swojego małżeństwa z Whitney. Bardzo kochał swoją rodzinę, ale zdarzały mu się chwile, gdy tęsknił za czasami, kiedy mogli przez cały dzień nie wychodzić z łóżka albo kochać się na środku kuchni, w salonie, w ogrodzie...

Na wspomnienie tamtych momentów Brady poczuł, jak narasta w nim podniecenie. Ostatnimi czasy trudno im było znaleźć czas dla siebie. Byli tak zajęci, że praktycznie jedyne chwile, jakie spędzali tylko we dwoje, zdarzały się nocą, gdy już spali.

Rzeczywistość uderzyła w niego z całą mocą, skutecznie pozbawiając go snu. Leżąc w łóżku, nasłuchiwał odgłosów domowego życia.

– Alex, przygotuj się do meczu – mówiła Whitney.

– Ale maaamoo...

Brady aż się wzdrygnął. Przed oczami stanęła mu perspektywa najbliższych lat, podczas których jego dziewięciolatka zmieni się w upiorną nastolatkę. Jęknął w duchu, żałując, że nie może zamieszkać sam na co najmniej dziesięć lat, zamiast gnieździć się pod jednym dachem z samymi kobietami.

Nagle przypomniało mu się, że dziś są walentynki, a to w jego przypadku oznaczało jedno – dzień obowiązków. Wiedział z doświadczenia, że takich świąt było w ciągu roku pięć: sylwester, walentynki, Dzień Ojca, jego urodziny i rocznica ślubu. Zanim pojawiły się dzieci, na tej liście znajdowała się jeszcze Gwiazdka,

ale w ostatnich latach byli tak wykończeni w świąteczny wieczór, że obojgu zależało tylko na tym, by jak najszybciej położyć się spać.

Brady rozmyślał o swoich planach na wieczór. Whitney na pewno mu się dziś nie oprze i wreszcie zobaczy ją w łóżku nagą. Przynajmniej taką miał nadzieję. Liczył, że żona będzie pod wrażeniem i odwzięczy mu się, zakładając jakąś seksowną koronkową szmatkę, którą będzie mógł z niej zedrzeć.

Zaraz jednak sobie uświadomił, że zanim jego marzenie się spełni, ma przed sobą bardzo długi dzień, który musi jakoś przetrwać.

– Tatusz już nie śpi! Tatusz już nie śpi! – usłyszał głos Ryann, a jej radosny ton momentalnie wywołał uśmiech na jego twarzy.

Chwilę potem rozległ się płacz najmłodszej córki i choć Brady doceniał, że Whitney pozwoliła mu dłużej pospać, dobrze wiedział, że czas leniuchowania dobiegł końca. Przeciągnął się i przeturlał się po łóżku. Ból, jaki poczuł podczas wstawania, prawie zwałił go z nóg. Zerknął na swoje bokserki: nawet w zamęcie codzienności perspektywa nocy z Whitney potrafiła go mocno podniecić. Spodziewał się, że w ciągu dnia uda im się jakimś cudem zostać na chwilę sam na sam, chociaż na parę minut, żeby rozładować napięcie odbierające mu jasność myślenia. Zdecydowanie musiał się o to postarać. Brady lubił mieć cel.

Poszedł pod prysznic, spędzając w kabinie trochę więcej czasu niż zwykle, żeby choć trochę sobie ulżyć, a potem wciągnął spodenki i koszulkę. Na koniec wziął głęboki oddech i wkroczył w chaos.

– Whit! Wiesz, że... – Brady urwał w pół zdania, wchodząc do kuchni i widząc tuż przed sobą kształtną pupę żony, która na dodatek apetycznie podrygiwała.

Nadal miała na sobie kuse szorty od pizamy i jeden z jego starych podkoszulków, a ciemne loki spięta w kucyk. Stała przy zlewie ze słuchawkami w uszach, zmywając naczynia po śniadaniu, całkowicie nieświadoma jego obecności.

Oparł się o granitowy blat kuchenny, splatając ręce na brzuchu i krzyżując stopy, z zachwytem wpatrzony w rozgrywające się przed jego oczami przedstawienie. Zauważył przelotnie, że na stole stoi talerz racuchów w kształcie serc, ale widok żony był w tym momencie znacznie ciekawszy niż jedzenie.

Mimo że byli małżeństwem od ponad dziesięciu lat, nadal miewał erekcję od samego patrzenia na Whitney. Poprawił szorty w kroku, jednocześnie rozglądając się za dziećmi. Na szczęście były w salonie i oglądały w telewizji jakąś kreskówkę. Znowu przeniósł wzrok na jędrną pupę żony, wciąż kręcącą się w rytm muzyki.

Whitney miała niezrozumiałą jego zdaniem słabość do długowłosych metalowców z lat osiemdziesiątych i gdy tylko była w dobrym nastroju, w ich domu rozbrzmiewały popularne w tamtych czasach zespoły, od Warrant po Bon Jovi. Za-

wsze drażnił się z nią na ten temat, niemniej jednak musiał przyznać, że wyglądała diabelnie seksownie, tańcząc przy tym szajsie.

W końcu nie wytrzymał, oderwał się od blatu i podkradł do niej od tyłu. Kiedy zniecka objął ją w pasie, aż podskoczyła ze strachu, upuszczając garnek. Brady powędrował dłońmi w górę jej ciała i na jego ustach pojawił się łobuzerski uśmieszek, bo wyczuł przez cienki materiał, że nie założyła stanika.

Whitney wyglądała na zaskoczoną. Uwielbiała, gdy ją dotykał, ale przy trójce dzieci i pracy na pełen etat nie zdarzało się to zbyt często. Prawdę mówiąc, odkad osiem miesięcy temu urodziła najmłodsze dziecko, tylko kilka razy wykazał inicjatywę w łóżku. Czując dotyk jego rąk, westchnęła i oparła się o niego plecami.

– Szczęśliwych walentynek, kochanie – wyszeptał Brady do jej ucha i delikatnie przygryzł je zębami.

– Pamiętałeś? – roześmiała się Whitney i odwróciła do niego przodem, pozostając w mocnym uścisku jego rąk. Miała na policzku pianę, a zalana podczas zmywania koszulka niemal całkowicie prześwitywała. Jeszcze nigdy nie wydawała mu się tak piękna.

– Oczywiście. A co myślałaś? Że jestem jakimś prymitywem i zapomnę w taki dzień o mojej kobiecie?

– No, skoro zapomniałeś w tamtym roku... I dwa lata wcześ- niej... I...

– Dobra! Wiem, że jestem do bani w tych romantycznych sprawach, ale dziś wieczorem wynagrodzę ci wszystkie walentynki, o których zapomniałem.

– Więc nie dostanę dziś jednej przywiedłej róży i kartki z małpą ze stacji benzynowej? – spytała Whitney, podnosząc wzrok na męża z lekko ironicznym uśmieszkiem.

– Ej! To nie była wcale jedna, ale trzy przywiedłe róże – zaprotestował Brady. – Poczekaj na wieczór... – urwał, pochylając się i delikatnie całując usta żony. – Mogłabyś założyć tę obcisłą czerwoną sukienkę? Wiesz którą. Bądź gotowa na siódmą.

– Uhm, ale pamiętasz, że potrzebna nam niania, jeśli chcesz mnie gdzieś zabrać?

Whitney wołała nie cieszyć się na zapas. Znała Brady'ego i miała wątpliwości, że będzie w stanie wszystko zaplanować.

– Jasne. Nie jestem idiotą. Shay przyjdzie o wpół do szóstej, żebyś mogła spokojnie przed wyjściem wszystko jej wyjaśnić.

Jego twarz dosłownie promieniała, gdy Whitney nachyliła się, żeby go pocałować, a potem lekko się uśmiechnęła, widząc jego dumną minę.

Spragniony czegoś więcej niż przelotnego całusa, Brady przyciągnął żonę mocniej do siebie i zachłannie wpił się ustami w jej wargi, rozkoszując się tak dobrze mu znaną słodyczą. Nic nie mogło się równać z całowaniem Whitney... No, powiedzmy, że prawie nic, ale w tym momencie nie potrafił sobie wyobrazić więk-

szego szczęścia niż to, że może ją trzymać w ramionach i czuć jej usta na swoich wargach. Do momentu, gdy...

– Fuj!

Dziewczynki jak na komendę wydały z siebie równocześnie odgłos obrzydzenia.

Brady uśmiechnął się, po raz ostatni całując czule usta Whitney, a potem wypuścił ją z objęć, odwrócił się i złapał na ręce Ryann, podnosząc ją wysoko.

– Tatusiu, dlaczego całujesz mamusię? – spytała Ryann, spoglądając na niego błyszczącymi oczami. Była tą bardziej ciekawską, co zawsze wydawało mu się przeurocze.

Jego córeczki tak bardzo się od siebie różniły, że ktoś, kto ich nie znał, nigdy nie domyśliłby się, że są rodzeństwem. Alex była kopią Brady'ego: krótko obcięte proste, prawie czarne włosy, ciemne, wyraziste oczy i wysportowana sylwetka. Zastępowała mu syna, którego się nie doczekał – największa chłopczyca z całej gromadki, trenowała piłkę nożną, softball, koszykówkę... W zasadzie trudno byłoby wymienić sport, którego nie uprawiała i w którym nie byłaby dobra.

Ryann miała włosy jaśniejsze od siostry, jasnobrązowe, i ciemnoniebieskie oczy, podobnie jak Whitney. Była bardzo bystra, aż chwilami Brady zastanawiał się, co będzie, gdy zacznie wykorzystywać swoją inteligencję do niewłaściwych celów.

Jeśli chodzi o Charlie, miała dopiero osiem miesięcy, więc naturalnie nie mógł wiele powiedzieć na temat jej charakteru, ale już było widać, że rośnie im mała księżniczka. Nie mogło być inaczej, skoro obie starsze siostry traktowały ją jak ulubioną lalkę.

– Całuję mamusię, bo uważam, jest śliczna i ją kocham – wyjaśnił Brady.

– Czy to znaczy, że Jason Montross kocha Alex i uważa, że jest śliczna?

Niewinny głosik Ryann kompletnie nie pasował do chytrego uśmiešku, z jakim wymownie spoglądała na starszą siostrę.

– Ryann! Ty wstrętna skarżypyto! – wybuchła Alex i już chciała wybiec z kuchni, ale Brady ją powstrzymał.

– A ty dokąd, młoda damo?

Gdy usłyszał, że jego ukochana, zaledwie dziewięcioletnia chłopczyca już całowała się z chłopakiem, momentalnie poczuł się tak, jakby przybyło mu co najmniej dziesięć lat.

– Brady – odezwała się ostrzegawczym tonem Whitney, rzucając mu wymowne spojrzenie. Można było z niego wyczytać, że jeśli powie na głos to, o czym właśnie myśli – że chce załatwić Alex edukację domową i do trzydziestki trzymać ją pod kluczem – nie będzie się wahała i za karę odstawi go od łoża.

Alex podniosła wzrok na ojca, zawstydzona, że już wszyscy wiedzą o Jasonie i pocałunku. Nie żeby sprawiło jej to przyjemność – wręcz przeciwnie: kazała

mu się odczepić, bo inaczej walnie go w brzuch – ale na pewno nie chciała, żeby dowiedzieli się o tym rodzice, a zwłaszcza tata.

– Co to za Jason? Muszę z nim porozmawiać, skoro masz zamiar za niego wyjść.

Bradley mrugnął porozumiewawczo do Whitney. Robiła wrażenie lekko zaniepokojonej, nie wiedząc, do czego zmierza mąż.

Zawstydzenie dręczonej Alex z miejsca ustąpiło wyraźnemu zdenerwowaniu.

– O-o cz-czym t-t-t-y mówisz, tato? Nie chcę być żoną Jasona!

– Racja, tatusiu. Alex mówiła, że zerwali ze sobą i ślubu nie będzie – dodała Ryann, jeszcze pogłębiając zażenowanie siostry.

Brady poczuł, jak zaczyna mu tętnić w skroniach. Zaczął tę rozmowę, bo chciał podroczyć się z Alex, może nawet odrobinę ją przestraszyć. Słyszając jednak, że jego dziewięcioletnia córka zerwała z chłopakiem, poczuł, że budzą się w nim ojcowskie instynkty.

– Skoro całuje cię jakiś chłopak, to znaczy, że powinien przyjść i porozmawiać ze mną, a potem musicie się pobrać. Ja przecież nie całuję innych dziewczyn, a mama innych chłopaków, prawda? Dlatego, że jesteśmy mężem i żoną.

Brady ze wszystkich sił starał się zachować powagę, ale musiał ukryć twarz we włosach Ryann, żeby Alex nie zobaczyła jego miny.

Dziewczynka z trudem przełknęła ślinę, nie mogąc wykrztusić ani słowa. W jej oczach zabłyśły łzy, aż zrobiło mu się nieprzyjemnie, że tak ją dręczy. Musiał jednak koniecznie zobaczyć tego chłopaka. Nikt nie będzie całował jego córeczki, nie mówiąc już o tym, by mogło ich łączyć coś, co można zerwać...

– Uważam, że powinniśmy go poznać, prawda, mamusiu? – rzucił i spojrzał na Whitney w nadziei, że podejmie jego grę, ale ona sprawiała wrażenie niezbyt zadowolonej z takiego obrotu spraw.

Klasnął w dłonie i odwrócił się do córki:

– Dobra, a teraz idź i przygotuj się do meczu. Mama zadzwoni i zaprosi do nas Jasona na walentynkowy lunch. Wszyscy razem zjemy rodzinny posiłek.

Specjalnie przesadnie zaakcentował słowo „rodzinny”, chcąc napędzić jej większego stracha.

– Brady!

W głosie żony znów pobrzmiwała ostrzegawcza nuta, on jednak koniecznie chciał dać nauczkę nie tylko wszystkim potencjalnym chłopakom, ale także swoim córkom.

– Rusz się, Alex! Musimy być na hali za dwadzieścia minut.

– Tato! Ale ja mam dopiero dziewięć lat. Nie mogę wyjść za mąż! – wybuchła Alex, wychodząc po rzeczy potrzebne do gry w koszykówkę.

W jej głowie kłębiły się różne myśli. Całej tej aferze był winien ten głupek

Jason Montross. Nawet jeśli w zeszłym tygodniu ze sobą chodzili, nie oznaczało to wcale, że może ją pocałować. Idąc do swojego pokoju, Alex obiecała sobie, że jednak go walnie, tak jak mu zapowiedziała.

Kiedy starsza córka zatrzasnęła za sobą drzwi pokoju, Brady postawił Ryann na podłodze i ucałował ją w czubek głowy.

– Idź, perełko, zobacz, co robi Charlie.

Patrzył za nią, gdy wybiegała z kuchni, a potem odwrócił się do żony. Whitney oparła ręce na biodrach, tupiąc ostrzegawczo nogą. Wcale się nie uśmiechała.

– Brady, przesadziłeś, to nie było potrzebne.

– Nie protestowałaś.

Chciał wyglądać na pewnego siebie, ale czuł, że dał się ponieść instynktowi. Jedyne, na czym mu zależało, to odstraszyć wszystkich chłopców, którzy ośmieliliby się zbliżyć do jego ukochanej córeczki.

– Nie chciałam, żebyś wyszedł na głupka przed dziećmi – odparowała Whitney.

– Oj, kotku... – westchnął, idąc do sypialni.

Był trenerem drużyny Alex, więc potrzebował sportowej koszulki i butów. Whitney poszła za nim, zniżając głos prawie do szeptu, żeby dzieci nie mogły ich usłyszeć.

– Daruj sobie czułości, Brady. Widziałeś Alexandrę? Była przerażona. Czy ty naprawdę myślisz, że twoja zwariowana na punkcie sportu córeczka jest zadowolona, że pocałował ją jakiś chłopak?

Brady czuł, że ma kłopoty i w duchu przyznawał żonie rację, ale kiedy dotarli do sypialni, znów zaczęło mu zależeć tylko na jednym: żeby wreszcie się do niej dostać.

Gdy tylko Whitney przekroczyła próg pokoju, szybko ją złapał, a potem jednym ruchem zatrzasnął drzwi i przekręcił klucz. Przycisnął ją z całych sił do siebie, zsuwając ręce na jej biodra i wodząc wargami po jej szyi. Była zła, ale gdy poczuła na swoim ciele jego dłonie, odpuściła.

– Brady... – szepnęła.

Wszystko w jej ciele krzyczało, że chce natychmiast, teraz, zaraz, mieć tego mężczyznę, którego dotyk nie pozwalał jej trzeźwo myśleć.

– Tak, wiem, masz rację Whit... – Głos Brady'ego był miękki, a ciepło jego oddechu na skórze sprawiało, że zapłonęła z pożądania. – Dam spokój Alex, obiecuję. Ale zrobmy to, co mówiłem, żebym nie wyszedł na idiotę przed dziewczynkami – dodał i wolniutko przeciągnął czubkiem języka po obojczyku Whitney, aż zmiękły jej nogi.

– Dobrze... – wydyszała, nie martwiąc się już więcej, że pomaga mu nastraszyć nie tylko córkę, ale również tego biednego chłopaka.

– Tato, spóźnimy się! – rozległ się nagle świdrujący głos Alex, przebijając

bańkę, w której odgradzili się od reszty świata.

– Cholera! – wyrwało się obojgu prawie jednocześnie, po czym zgodnie wybuchnęli śmiechem.

Brady oparł się czołem o czoło żony i głośno westchnął. Spoglądając w jego płonące pożądaniem oczy, Whitney uwiadomiła sobie, że może uważać się za szczęściarę, mając u boku takiego faceta. Cóż, może życie z nim nie jest idealne, ale kocha ją i rodzinę, a poza tym jest dobrym człowiekiem. Nie mówiąc o tym, że jest tak samo seksowny jak wtedy, gdy się poznali.

Otwierając drzwi, Brady powiedział:

– Przyjdę za minutkę. Muszę zabrać ciuchy.

Kilka minut później wyszedł z sypialni, stając oko w oko z córką, która w tym momencie do złudzenia przypominała matkę: ten sam przeszywający wzrok, ręce oparte na biodrach, groźnie ściągnięte brwi. Widząc ją, znów poczuł strach przed przyszłością. W najbliższych latach będzie musiał pogonić jeszcze wielu chłopaków, tego mógł być pewien.

– No dobra, brachu. Idziemy – rzucił, udając, że nie widzi ponurego spojrzenia córki.

Z tyłu dobiegł go płaczliwy głos:

– Maaaamooooo...

– Porozmawiaj z tatą, Al.

Whitney nie miała jej nic na ten temat do powiedzenia. Jej samej również nie bardzo się to wszystko podobało, ale Brady tak rozdmuchał tę sprawę, że nie było innego wyjścia, jak doprowadzić ją do końca. Jak można się było spodziewać, to na nią spadł obowiązek zatelefonowania do rodziców tego chłopca (na szczęście znała się dobrze z Nicole Montross) i przygotowania lunchu, który przypadnie do gustu dziewięciolatkom, nie mówiąc już o sprzątaniu domu. Teraz, kiedy Brady nie mieszał jej już w głowie, odzyskała jasność myślenia i szczerze mówiąc, była lekko wkurzona.

Brady siedział w pikapie, gdy w końcu pojawiła się Alex. Na jej twarzy malował się taki smutek, że już miał skapitulować, odwołać lunch i powiedzieć jej, że wcale nie musi wychodzić za tego chłopaka, ale zaraz przypomniały mu się Ryann i Charlie, które też przecież to czeka, więc, niestety, nie było innego wyjścia, jak zrobić z Alex kozła ofiarnego – dla ich wspólnego dobra.

Córka wspięła się na tylne siedzenie, zapięła pas i skrzyżowała ręce na pierśsiach, wbijając posępny wzrok w tył głowy ojca.

– Uśmiechnij się, złotko. Nie będzie aż tak źle. To dla mnie bardzo ważne, żeby go poznać. Skoro masz za niego wyjść, muszę być pewien, że potrafi o ciebie zadbać.

– Tato!

– Alex! – odpowiedział jej tym samym płaczliwym tonem. – Przykro mi, ale

jeśli zachciało ci się całować z chłopakami, nie mam innego wyjścia. Myślisz, że się cieszę, że tak szybko muszę wydawać cię za mąż? Mam nadzieję, że ten twój Jason ma pracę i dobrze zarabia.

– Ale ja go wcale nie całowałam, tato! To on pocałował mnie! Ostrzegałam go, że jeśli zrobi to jeszcze raz, przywalę mu w brzuch.

Usta momentalnie rozciągnęły mu się w szerokim uśmiechu. Sięgając myślami do czasów, gdy sam był w jej wieku, nie przypominał sobie, by miał ochotę na całowanie się z dziewczynami. Wręcz przeciwnie, dokładnie pamiętał, jak ukrywał się w toalecie przez Becky Hammerstein, która próbowała go pocałować.

– Moja krew – mruknął pod nosem, mając nadzieję, że mała tego nie słyszy.

– Ja go już wcale nie lubię. Proszę, tato, nie chcę zostać żoną Jasona! Wolę być dorosła i poślubić kogoś takiego jak ty.

To było jak miód na serce Brady'ego. Nie miał oczywiście pewności, czy jego najstarsza córka nie próbuje go w ten sposób podejść, ale udało jej się całkowicie go rozbroić.

– No dobra, skoro go nie pocałowałaś, to nie musisz z nim brać ślubu. – Usłyszał, że głośno odetchnęła, aż zrobiło mu się nieswojo. – Ale i tak chcę go poznać, więc zjemy razem lunch. Musi wiedzieć, że nie wolno mu na siłę cię całować. – Zerknął w lusterko, dostrzegając na jej twarzy wyraz ulgi. – Wiesz o tym, prawda? Żaden chłopak nie ma prawa cię pocałować ani zrobić niczego innego, jeśli sama tego nie chcesz... A nie chcesz, zrozumiano?

– Tato!

W lusterku zobaczył, że Alex przewraca oczami. Tego mu było potrzeba. Nareszcie mógł spokojnie odetchnąć, pierwszy raz od chwili, gdy się dowiedział, że jego mała córeczka ma już za sobą pierwszy pocałunek.

Kiedy Brady i Alex wrócili do domu, było już po jedenastej. W salonie natknęli się na Ryann i Charlie, oglądające jakiś film Disneya na DVD. Kiedy weszli, dwie małe główki jak na komendę odwróciły się w ich stronę.

– Cześć, perełko. Gdzie mamusia?

– Nie odwracając głowy, Ryan odparła:

– Mamusia powiedziała brzydkie słowo i zaraz potem poszła pod prysznic.

Na myśl o nagiej Whitney w zaparowanej kabinie prysznicowej ciało Brady'ego natychmiast zareagowało.

Nigdy wcześniej nie miał aż takiej ochoty na swoją żonę jak dziś. Nawet na początku, gdy zaczęli się spotykać i odsyłała go do domu po namiętym pocałunku, nie pragnął jej tak mocno jak teraz.

Brady nie wierzył w te wszystkie dyrdymały związane z walentynkami (pewnie dlatego zazwyczaj o nich zapominał), ale tym razem uznał, że to jedyne ra-

cyjonalne uzasadnienie jego permanentnego podniecenia. Powody niewiele go obchodziły, chciał jedynie jak najszybciej znaleźć się w łazience i pomóc jej przy kąpieli.

– Alex, idź się przebrać. Twój kolega zaraz tu będzie – polecił najstarszej córce, po czym nachylił się i ucałował główkę Ryann.

– Tatusiu, mamusia powiedziała dużo brzydkich słów. Lepiej zostań tu ze mną i z Charlie.

Córka oderwała się na chwilę od ekranu i posłała mu niewinne spojrzenie. Widząc to, Brady poczuł, jak wzbiera w nim fala nieprzebranej miłości. Chciała go chronić, a to jedna z rzeczy, dla której warto być ojcem.

– Chyba dam sobie radę, Ry. Mamusia ma słabość do ładnych buzi.

Mrugnął do małej i nachylił się, żeby dać całusa Charlie, doszczętnie pochłonięty odgłosem leżącej się wody w łazience i obrazami, jakie podsuwała mu wyobraźnia, więc dopiero po chwili uderzył go zapach, który obudziłby umarłego.

Klnąc bezgłośnie pod nosem, wziął Charlie na ręce. Jakkolwiek by nie pragnął zamknąć się teraz w łazience z Whitney, nie miał serca robić tego temu słodkiemu bobasowi, który gruchał do niego z pogodnym uśmiechem. Poza tym, skoro Whitney i tak jest już na niego wściekła za spóźnienie, pozostawienie brzydko pachnącej niespodzianki byłoby jednoznaczne z tym, że wieczorem będzie mógł liczyć tylko na wspomnienia i własną rękę.

– Chodź, księżniczko. Mamy dziś gości, więc może przydałaby się nam śmierdząca bomba? Ale mamusia i tak jest już wściekła na tatę, więc nie możemy tego zostawić.

Brady zmierzwił włosy Ryann i z Charlie na ręku skierował się do pokoju, żeby zmienić pieluchę, tracąc w ten sposób cenne minuty, a wraz z nimi okazję na wspólny prysznic z Whitney.

Jak można się było spodziewać, zanim skończył przewijać córkę, włączył Ryann nowy film o księżniczkach i utemperował fochy Alex z powodu wizyty Jasona, szum wody ucichł.

W nadziei, że dopadnie Whitney bez ubrania i choć przez chwilę poczuje przedsmak czekającej go dziś wieczorem przyjemności, otworzył po cichu drzwi sypialni i wślizgnął się do środka. Zamknąwszy je starannie na klucz, na wypadek, gdyby któremuś z pałętającego się po domu drobiazgu wpadło do głowy ich szukać, rzucił się w kierunku łazienki.

Kiedy ją zobaczył, dosłownie oniemiał. Zgięta wpół i ubrana jedynie w jasnoróżowy koronkowy stanik i majteczki do kompletu, Whitney suszyła włosy. Widok ten do złudzenia przypominał scenę z jakiegoś nie najwyższych lotów filmu o dojrzewaniu nastolatków – miał wrażenie, że wszystko dzieje się w zwolnionym tempie, a w tle – nie wiedzieć czemu – rozbrzmiewa muzyka Whitesnake.

Widok ukochanej w tak kuszącej pozycji obudził w nim samcze instynkty.

Nadal miała lekko zaczerwienioną skórę od strumienia gorącej wody, a gdy się wyprostowała, na jej ramiona opadła burza ciemnych loków. Była olśniewająca. Brady nie potrafił znaleźć innego słowa – po prostu olśniewająca.

– Jezu! – wrzasnęła Whitney, przestraszona niespodziewanym widokiem męża. – Boże, Brady, przestraszyłeś mnie na śmierć!

Ciężko dyszała, a jej piersi falowały z każdym oddechem, na widok czego męskość Brady’ego momentalnie zadrgała.

– Wybacz, skarbie. Po prostu mnie zamurowało na twój widok. Wyglądasz niesamowicie seksownie.

– Akurat. Bo suszyłam włosy? To coś erotycznego? – spytała Whitney ze śmiechem.

– Jeszcze jak – szepnął Brady i wypuścił z płuc powietrze, jednocześnie zdejmując przez głowę koszulkę.

– Aha... Ale wiesz, że w nocy i tak ci się poszczęści? Nie musisz mnie uwodzić, Brady. Pomyśl, skoro dostałeś nagrodę za zwiędłą różę i kiczowatą walentynkę, masz niewielkie szanse, żeby coś spieprzyć.

„O w mordę! To zabrzmiało prawie jak «pieprzyć»” – przemknęło Brady’emu przez głowę, gdy ściągał szorty wraz z bokserkami. Przed oczami stanął mu obraz żony, jej ponętnych ust i tego, co chciałby, żeby mu nimi zrobiła.

– Poważnie? Bo Ry mi doniosła, że powiedziałaś wiele brzydkich słów, kiedy mnie nie było – roześmiał się, obejmując dłonią nadgarstek Whitney i przyciągając ją do siebie.

– Taa, pewnie wyrwała mi się jakaś „cholera” czy jakiś „szlag”. Gdzie u diabła się podziewałaś? Nie zapominaj, że cały ten lunch to był twój pomysł.

– Przepraszam. – Pocałował ją delikatnie. – Zabrałem po meczu dziewczynki na pączki.

Jego dłonie powoli prześlizgnęły się po odzianych w koronki biodrach żony, a potem powędrowały w górę, by zacisnąć się na idealnie krągłych piersiach.

– Brady, daj spokój. Nie mam teraz do tego głowy – oznajmiła Whitney, wyslizgując się z jego objęć.

– Oj, Whit, nie bądź taka. Spójrz na mnie. – Brady wskazał na swą imponującą męskość wyprężoną w jej kierunku. – To tylko kilka minut. Proszę, kotku.

– Och, mój ty biedaku – szepnęła czule Whitney, przesuwając palcami po jego nagiej piersi w dół, coraz bliżej miejsca, gdzie – jak miał nadzieję – za moment wyląduje jej dłoń. Ale odwróciła się i wyszła z łazienki, rzucając do niego przez ramię: – Zróbmy tak: idź pod prysznic i zacznij beze mnie, a ja zaraz wrócę i ci ulżę...

Gdy zniknęła za drzwiami, Brady wydał słaby jęk i uśmiechnięty od ucha do ucha zamknął się w kabinie prysznicowej. Wyregulował temperaturę wody, a potem odchylił głowę i wszedł pod strumień. Zamykając oczy, zaczął sobie wyobra-

zać, że poruszająca się w dole ręka nie należy do niego, lecz do Whitney.

Ding-dong!

Odgłos dzwonka zmusił Brady'ego do otwarcia powiek. Jego oczom ukazała się sylwetka żony. Stała naprzeciw kabiny ubrana w dzinsy i czerwony podkoszulek z długimi rękawami. Trudno opisać rozczarowanie, jakie poczuł na ten widok.

– Oj, kotku, nie patrz tak na mnie. Przecież obiecałam, że ci ulżę.

Drzwi kabiny otworzyły się, więc Brady odruchowo przymknął oczy w oczekiwaniu na dotyk jej rąk. Zamiast tego jego ciało smagnął strumień lodowato zimnej wody.

– To ci powinno pomóc! – zawołała ze śmiechem, a potem usłyszał, jak zamyka za sobą drzwi sypialni.

Dokładnie w tym samym momencie znów rozległ się dźwięk dzwonka.

– Whitney! – wrzasnął z całych sił.

Ciągle nie mógł uwierzyć, że potraktowała go w ten sposób. Teraz już wiedział, po kim Ryann odziedziczyła charakterek.

Przypominając sobie, co działo się z jego ciałem przez cały dzień, w końcu postanowił dokończyć kąpiel w zimnej wodzie. Chłód co prawda ostudził ciało, ale jego myśli nadal krążyły wyłącznie wokół Whitney. Mimowolnie odliczał godziny dzielące go od chwili, gdy będzie ją miał tylko dla siebie, i aż jęknął, uświadamiając sobie, że musi jeszcze tak długo czekać.

Idąc korytarzem w stronę drzwi wejściowych, Whitney nie potrafiła powstrzymać się od śmiechu. Brady zasłużył sobie na zimny prysznic, nie miała żadnych wyrzutów sumienia. To był mały odwet, bo zostawił ją samą z całym tym bałaganem, a sam w tym czasie pojechał sobie na pączki. Ponownie roześmiała się na wspomnienie tego, jak gwałtownie otworzył oczy, gdy uderzył go strumień lodowatej wody.

Jak mogła się spodziewać, za drzwiami stał Jason Montross. Biedny dzieciak, chyba się domyślał, że nie zaproszono go po to, by pobawił się z Alex, bo aż dygotał.

– Dz-dz-dzień dobry, mamó Alex – wymamrotał, a Whitney z największym wysiłkiem stłumiła śmiech. Miała nadzieję, że Brady nie będzie się na nim zbyt mocno wyżywał.

– Cześć, Jason. Proszę, wejdź. Alex jest w salonie z siostrami, możesz do nich pójść. Lunch będzie gotowy za kilka minut. Robię kanapki z masłem orzechowym i dżemem.

– Witaj, Jason. Co słyhać, synu? – Do uszu Whitney dobiegł donośny głos Brady'ego, przesadnie akcentujący słowo „synu”.

Chłopak się nie odezwał.

Whitney nie chciała być świadkiem zadawanych mu tortur, więc poszła prosto do kuchni, żeby zająć się przygotowywaniem lunchu. Widziała z daleka, że jej najstarsza córka siedzi wciśnięta w kątek kanapy, Jason kuli się na jej drugim końcu, a pomiędzy nimi rozpięta wygodnie jej mąż, niemal dotykając dzieci ramionami szeroko rozłożonymi na oparciu.

Przygotowując składniki do lunchu, Whitney niespodziewanie uderzyła myśl, że to dopiero początek. Mają przecież trzy córki, a to oznacza, że jeszcze nie jeden chłopak będzie się jąkać w obecności Brady'ego, jej zaś przypadnie rola głosu rozsądku. Doskonale zdawała sobie sprawę, że żaden chłopak nigdy nie wyda się Brady'emu wystarczająco dobry dla ich córek. Za to między innymi go ubóstwiała, ale jednocześnie ogarniał ją strach na myśl o tym, że będzie musiała sobie z tym radzić.

Zajęta wycinaniem foremką kanapek w kształcie serca, słyszała tylko strzępki rozmowy, jaka toczyła się w salonie. Dobiegający do jej uszu ton głosu Brady'ego był lekki i kpiący, a to oznaczało, że nie wytoczył jeszcze ciężkich dział, a jedynie bawi się swoją ofiarą.

– ...no, no, niezły z ciebie podrywacz.

– ...tak, proszę pana.

– Taaatooo!

– Chodźcie na lunch! – zawołała Whitney, mając nadzieję, że dzięki temu oszczędzi córce wstydu i uchroni Jasona przed posikaniem się ze strachu.

Kiedy usiedli przy stole, zrobiło się cicho i niezręcznie. Brady mierzył chłopca wzrokiem, nie przestając się uśmiechać, Whitney zaś spróbowała nieco rozluźnić atmosferę.

– Jason, uprawiasz jakiś sport? Alex miała dziś rano mecz koszykówki.

– Eee... tak... Piłkę nożną – odparł chłopak, nie podnosząc oczu znad talerza.

– Powiedz mi, Jason... często ci się zdarza całować dziewczyny, prawda? – wypalił bez ogródek Brady, zachęcony przykładem żony.

Na dźwięk tych słów Alex zakrztusiła się i zaczęła kaszleć, a Ryann parsknęła śmiechem. Jason błyskawicznie uniósł głowę, wpatrując się w Brady'ego okrągłymi oczami. Poruszał przy tym ustami, jakby chciał coś powiedzieć, ale nie mógł wykrztusić słowa.

– No wiesz, muszę mieć pewność, że kiedy ty i Alex się pobierzecie, nie będziesz całował żadnej Katie czy Abby, łamiąc serce mojej kochanej córce. Bo wtedy byłbym bardzo niezadowolony...

Jęk, jaki wydobył się z gardła Alex, sprawił, że Ryann nie wytrzymała i zsunęła się na podłogę, łapiąc się za brzuch ze śmiechu.

– E... ja... to znaczy... – zaczął Jason, który był tak zestresowany tym, że Brady nadal się w niego wpatruje, a Ryann turla po podłodze ze śmiechu, że nie

potrafił nic więcej z siebie wydusić.

– Aha, i masz już pracę, i zarabiasz? Alex to przecież dziewczyna, a obaj dobrze wiemy, że one potrzebują dużo rzeczy, za które trzeba płacić.

Brady nie przestawał, choć dobrze wiedział, że dzieciak jest przerażony. Ale inaczej niż w przypadku Alex, wcale mu to nie przeszkadzało.

Jason wciąż nie był w stanie się odezwać. Whitney w tym czasie próbowała podnieść Ryann z podłogi i posadzić na krzesło, ale nie było to łatwe, zwłaszcza że wygłupy starszej siostry spodobały się Charlie, która piszczala z uciechy i śmiała się w głos.

– Widzisz, muszę się upewnić, że nikt, ale to nikt nie dotknie moich dziewczynek, jeżeli sobie tego nie życzą. Poza tym, jeśli już mam ci oddać jedną z nich za żonę, chcę wiedzieć, czy potrafisz o nią zadbać.

– W porządku, Brady, wystarczy – powiedziała Whitney nieco ostrzejszym tonem, niż zamierzała, ale było widać, że chłopak zaraz się rozplacze, a Alex spłonie ze wstydu.

– Oj – rzuciła Ryann, która w końcu wróciła na swoje krzesło. – Tatus ma kłopoty. Tatusiu, spójrz na mamę i wszystko będzie dobrze. Mamusia ma słabość do ładnych buzi.

Brady coraz częściej dochodził do wniosku, że z tej ślicznej i rozkosznej czterolatki wyrośnie diablica. Rzucił Whitney niewinne spojrzenie, wzruszając tylko ramionami. Zmierzyła go gniewnym spojrzeniem, obiecując sobie w duchu, że policzy się z nim później.

Na dźwięk słów Whitney Jason odwrócił głowę i spojrzał na nią. Widząc, że w oczach chłopca szklą się łzy, była pewna, że Brady'emu w stu procentach udało się osiągnąć swój cel.

– Jason, tata Alex próbuje ci dać do zrozumienia, że martwi go, że ją pocałowałeś. Oboje uważamy, że jesteście na to o wiele za młodzi. Rozumiesz? – zaczęła Whitney.

Chłopiec popatrzył na nią, a potem znów przeniósł wzrok na Brady'ego, który wpatrywał się w niego z takim zacięciem, jak Tom Cruise w rosyjskiego miga w *Top Gun*. W końcu biorąc głęboki oddech, zdołał wykrztusić:

– Pocałowałem ją, bo założyłem się z Kalebem Michaelsem. Wcale nie chciałem się z Alex całować... – urwał, widząc minę Brady'ego.

Brady wcale się nie spodziewał, że tak go rozgniewają ostatnie słowa tego młodego Romeo. Zaprosił go na lunch głównie po to, żeby mu uświadomić, że ma się trzymać z daleka od Alex, a mimo to bardzo się wkurzył, bo jakiś chłopak śmie twierdzić, że nie podoba mu się jego córka!

– To znaczy, lubię Alex, gramy razem na przerwach w piłkę, bejsbol i koszykówkę... Jest fajna i zabawna, ale dziewczyny w większości są strasznie dziwne i rozgadane. Nie chcę się z nimi całować. Ale Kaleb nazwał mnie tchórzem, a po-

tem powiedział, że jeśli pocałuję Alex, pożyczy mi na cały tydzień nową grę na konsolę, SpongeBoba. – Jason powiedział to wszystko na jednym wdechu, a gdy skończył, musiał kilka razy głęboko wciągnąć powietrze.

– Czy może być coś lepszego od SpongeBoba? – spytał Brady z nutką sarkazmu w głosie, której dziewięciolatek nie był w stanie wyczuć.

– No właśnie, to nowość! A mama powiedziała, że na pewno mi jej nie kupi... Ponieważ nawet lubię Alex, to ją pocałowałem, zgodnie z zakładem.

Na dźwięk tych słów mina Brady'ego nieco złagodniała. W całej tej historii chodziło o jakąś grę, nie o jego córkę. Coś takiego mógł ostatecznie zrozumieć. Pewnie sam w jego wieku pocałowałby dziewczynę, gdyby mógł sobie za to pograć na konsoli.

– Chodzi o to, Jasonie – odezwał się Brady, a z twarzy chłopca momentalnie znikł uśmiech – że nie wolno ci całować dziewczyn bez ich pozwolenia. To nie jest miłe i uważam, że miałeś sporo szczęścia, że nie dostałeś lania od Alex.

Wszyscy jak na komendę spojrzeli na Alex, która pochyliła głowę, żeby nikt nie dojrzał jej łobuzerskiego uśmiechu. Wiedziała, że mamie z pewnością nie spodobałoby się to, że nadal planuje to zrobić.

– Pamiętaj, kiedy będziesz starszy, może się zdarzyć, że będziesz mieć do czynienia z kimś takim jak ja, komu się to nie spodoba. Kapujesz?

– Tak, proszę pana. – Widać było wyraźnie, że chłopak znowu wpadł w panikę.

– No dobra. Dokończ jedzenie, a potem dostaniesz baty... Pogramy w Wii – dodał Brady, uśmiechając się do Jasona.

Przełknąwszy ślinę, chłopiec pośpiesznie zajął się swoją kanapką. Whitney spojrzała ponad stołem na męża i serce zabiło jej szybciej na myśl o tym, że należy do niej. Doceniała, że chce chronić swoje córki, a przy tym jest w stanie okazać chłopakowi odrobinę wyrozumiałości. „Rzeczywiście, coś dziś wisi w powietrzu” – pomyślała.

Pogrążoną w myślach Whitney przywrócił do rzeczywistości dopiero płacz Charlie. Rozglądając się wokół, uświadomiła sobie, że stół został sprzątnięty i jest w kuchni sama z najmłodszą córeczką.

– Wygląda na to, że porzucili nas dla kręgli albo hokeja, czy w co tam grają, prawda, laleczko?

Whitney wyjęła Charlie z wysokiego krzeselka i postanowiła ją przewinąć, a potem wziąć książkę i położyć się razem z nią na kanapie. Miała nadzieję, że córeczka zaśnie, a ona będzie miała chwilę, żeby spokojnie poczytać.

– Whit? Hej, skarbie! – wyszeptał Brady do ucha żony, delikatnie nią potrząsając. – Już prawie trzecia po południu. Właś- nie odesłałem do domu tego całego

Jasona, ale najpierw dostał ode mnie baty w kręgle na Wii.

Najwyraźniej zasnęła z dzieckiem na kanapie, kiedy on grał na konsoli z Jasonem i dziewczynkami. Całując ją czule w czoło, poczuł, że zaczyna się budzić.

– Która godzina? Dlaczego mnie wcześniej nie obudziłeś?

Rozespany głos Whitney przeszył jego ciało falą gorąca, która usadowiła mu się między nogami i kolejny raz wywołała erekcję. Wyglądało na to, że cokolwiek by dziś nie zrobiła czy powiedziała, efekt był jeden. Wystarczyłby sam jej zapach, by momentalnie zrobił się twardy jak skała. Nie żeby wcześniej go nie podniecała, wręcz przeciwnie, ale dziś było inaczej. Doszedł do wniosku, że pewnie dzieje się tak dlatego, że wszystko dokładnie zaplanował i spodziewał się nagrody. Jeśli doczekał się jej za zwiędłą różę i walentynkę z małpą, mógł sobie tylko wyobrazić, w jaki sposób Whitney odwdzięczy mu się dzisiejszej nocy...

– Po pierwsze, bo jest prawie trzecia, a po drugie, bo wyraźnie potrzebowałaś snu. Głupio mi było, że zostawiłem cię rano z tym wszystkim samą, więc chciałem, żebyś trochę odpoczęła. Jason przed chwilą poszedł do domu. To wcale nie jest zły chłopak... Nic do niego nie mam, pod warunkiem, że będzie trzymał dziób z daleka od mojej córki.

Ręce Brady'ego prześliznęły się po ramionach Whitney, wywołując u niej gęsią skórkę.

– Wiesz co... dziewczynki są teraz zajęte... – odezwał się Brady, sięgając ustami do warg żony.

W odpowiedzi Whitney wydała z siebie ciche westchnienie.

– Przepraszam, Brady, ale muszę wyskoczyć do sklepu po parę rzeczy. Niech to szlag! Nie mogę sobie darować, że przespałam całe popołudnie. Trzeba kupić coś do jedzenia dla Shay, bo inaczej więcej nie przyjdzie do dzieci... Chyba wiesz, jak ciężko o nią w naszej okolicy? Ona robi to głównie dlatego, że zawsze mamy w lodówce pepsi, a w szafkach pełno przekąsek. Nie wspominając o tym, że kiedy położy dzieci spać, może bez ograniczeń korzystać z naszego telefonu i komputera.

– No chodź, Whit... To tylko dziesięć minut... – wyszeptał Brady i nachylił się, żeby pogłębić pocałunek, w nadziei, że ją to podnieci i zgodzi się zaszyć razem z nim na chwilę w sypialni.

– Nic z tego, przystojniaku – odpowiedziała i zepchnęła go z siebie.

Potem poklepała go czule po policzku i zostawiła samego, by się odświeżyć przed wyjściem do sklepu.

Brady poczłapał do swojego gabinetu, po drodze sprawdzając, co robią dziewczynki. Musiał dopilnować, żeby nic nie pokrzyżowało jego planów na dzisiejszy wieczór. Wymyślił sobie, że odwiedzą z Whitney jej ulubioną chińską knajpkę, a potem pojedą do kina samochodowego. Może wyglądało to trochę kiczowato, ale gdy zaczęli się za sobą spotykać jako studenci, spędzali tam prawie

każdą letnią noc, wygodnie rozłożeni na tylnych siedzeniach jego starego rozklekotanego pikapa. I choć było lato, przez większość czasu ukrywali się pod kocem...

Brady zadbał, żeby w restauracji czekały na nią kwiaty, a w samochodzie miał wszystko, co potrzebne, do oglądania filmu. Spodziewał, że czymś takim mocno u niej zapunktuje.

– Jadę do sklepu. Za chwilę wracam! – zawołała z kuchni Whitney i chwilę później Brady usłyszał szcęk zamykanych drzwi garażowych.

Kiedy Whitney wreszcie wróciła do domu, była już prawie piąta. Niewiarygodne, jaki ruch panuje w spożywczym w walentynkowe popołudnie! Większość z klientów to mężczyźni miotający się po sklepie z pudełkami w kształcie serc pod pachą i tarasujący alejkę z kartkami. Reszta pewnie zaopatruje się w składniki na uroczystą walentynkową kolację.

Whitney już od dawna miała prezent dla Brady'ego. Prawdę mówiąc, był raczej dla niej, ale wiedziała, że na pewno spodoba mu się seksowna bielizna – gorset z czerwonej satyny i majteczki do kompletu. Nie mogła się doczekać, aż zobaczy jego minę, gdy mu się w tym pokaże.

Kiedy weszła do środka, w domu panowała niecodzienna cisza, aż zaczęła się niepokoić.

– Jest tu kto? – zawołała.

– Tutaj, Whit!

Postawiła siatki z zakupami na blacie kuchennym i poszła zobaczyć, co robią dzieci. Kiedy zachowywały się podejrzanie cicho, mogła się spodziewać, że czeka ją dużo sprzątanina.

Ku jej zdumieniu okazało się, że Brady jest w łazience dziewczynek, a Ryann i Charlie siedzą w wannie. Śpiewał jakąś wymyśloną piosenkę, namydlając jednocześnie szamponem włosy Ryann. Już samo to, że nie krzyczała przy tym jak obdzierana ze skóry, było sukcesem, a gdy Whitney zobaczyła, że wesoło chichocze, nie potrafiła powstrzymać uśmiechu. Momentalnie poczuła, jak przez jej ciało przepływa fala podniecenia. Nie było seksowniejszego widoku od ukochanego mężczyzny świetnie sprawdzającego się w roli ojca.

– Zamówiłem dla nich pizzę na kolację – oznajmił Brady, spoglądając na nią przez ramię, a Whitney mimowolnie zaczęła się zastanawiać, od jak dawna się nie kochali, skoro Brady przez cały dzień tak się dla niej stara.

– Uhm, dobra. W takim razie rozpakuję zakupy i kiedy przyjedzie pizza, pójde się przygotować, dobrze?

– Świetnie, kotku – rzucił Brady i odwrócił się do siedzących w wannie dziewczynek, które momentalnie ochlapały mu całą twarz pianą.

Gdy na stole pojawiła się pizza, Whitney poszła się przygotować do walen-

tynkowej randki. Brady, który przebrał się już wcześniej, wyglądał zabójczo w czarnych spodniach i krwistoczerwonej koszuli, w której rozpiął górne guziki, odsłaniając kawałek seksownej klaty. Gdy jakiś czas później wyszła z sypialni, grał z dziewczynkami w salonie w ich ulubioną planszówkę. Ku jej zdumieniu, stół był wytarty do czysta, a kuchnia starannie sprzątnięta. Przykazała sobie w duchu częściej flirtować z Bradym, jeśli zawsze miałby się aż tak starać, żeby zaciągnąć ją do łóżka.

Weszła do pokoju, a wtedy wszystkie głowy odwróciły się w jej stronę. Oczywiście zdarzało jej się elegancko ubierać, ale ostatnio tak rzadko, że zaczęła się nerwowo kręcić, obciągając sukienkę.

– Mamusiu, jaka ty jesteś dziś ładna! – zawołała zdumiona Ryann.

Whitney nie była pewna, czy ma się czuć zadowolona, czy urażona.

– Jasne, że tak – poparł ją Brady. – Ale mama zawsze pięknie wygląda – dodał, patrząc żonie prosto w oczy.

Dobrze ją znał – musiała czuć skrępowanie, nie domyślał się tylko dlaczego. W jego oczach nadal była najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek spotkał. I jedyną, jakiej pragnął, mimo że byli razem ponad dwanaście lat.

– Rany, Ry, gadasz, jakby mama wcześniej nie była ładna. Straszny z ciebie dzieciak – skarciła młodszą siostrę Alex.

Whitney uśmiechnęła się do niej, zadowolona, że mimo koszmarne go wstydu, jaki zrobił jej dziś ojciec, odzyskała już dawną swobodę i pewność siebie.

– Faktycznie, ładnie wyglądasz, mamó – dodała.

– Dzięki. Tata też się nieźle prezentuje... – zaczęła Whitney, ale przerwał jej dzwonek telefonu.

Brady wyciągnął rękę w kierunku stolika, gdzie stał aparat. Nie spuszczać wzroku ze zgrabnej sylwetki żony, odezwał się do słuchawki:

– Słucham?

Whitney odebrała z jego rąk Charlie, podczas gdy on ciągle prowadził rozmowę. Powtarzał raz po raz „tak” i „naprawdę?” ze stęszalą twarzą, opuszczonymi nisko brwiami i skrzywionymi ustami. Nie wróżyło to nic dobrego.

– Ku... – wyrwało się Brady’emu, gdy odkładał słuchawkę.

Szybkie spojrzenie zdziwionej Whitney sprawiło, że zmielił w ustach przekleństwo.

– Co się stało?

– Dzwoniła matka Shay... Shay jest chora i nie może dziś zająć się dziećmi – wyjaśnił Brady niepewnym tonem. – Wygląda na to, że jesteśmy uziemieni. Przykro mi, kotku.

Whitney z całych sił starała się nie okazywać rozczarowania. Widziała, że Brady bardzo się przejął zepsutym wieczorem, więc nie chciała jeszcze pogorszyć sprawy. Nie miała pojęcia, co powiedzieć, stała więc bezradnie na środku pokoju

z dzieckiem na ręku. No cóż, równie dobrze może już założyć piżamę.

Do Brady'ego docierały głosy córek, ale kompletnie nie wiedział, o czym rozmawiają. Myślał tylko o jednym: jak uratować walentynkowy wieczór, na którym tak bardzo mu zależało. Nieważne, że i tak dostanie to, co chciał. Robił to wszystko dla niej, bo zasługiwała na znacznie więcej, niż dawał jej we wszystkie minione walentynki.

– Nic straconego. Mam plan – oznajmił nagle.

Whitney podniosła na niego wzrok, zauważając, że uniósł jedną brew, co nadawało jego twarzy lekko złowieszczy wygląd. Coś wymyślił, ale niekoniecznie był to dobry pomysł.

– Ekhm, Brady, jest już prawie siódma i mamy walentynki... Nie ma mowy, żeby znaleźć inną nianię. Nawet moja siostra idzie dziś na randkę, a to najlepiej świadczy, że jesteśmy bez szans.

– Ale to nie problem, Whit. Może pójdziesz położyć Charlie? Będę z powrotem za trzydzieści minut, góra godzinę – rzucił Brady i pospieszenie skierował się do garażu. Po drodze wyjął z kieszeni telefon i wybrał jakiś numer.

Whitney bezradnie potrząsnęła głową, po czym poszła do kuchni przygotować butelkę dla Charlie.

– Dziewczynki, idę uspić Charlie. Bądźcie grzeczne i nie bałagańcie, dobrze? – zawołała do starszych córek.

W głowie jej się kręciło od domysłów, co też Brady mógł tym razem wymyślić. Obawiała się, że to coś niezbyt rozsądnego, co na dodatek będzie ich kosztowało mnóstwo pieniędzy. Bo tym zwykle kończyły się jego plany.

Skoro Brady dotarł do stojącego w garażu pikapa, zdążył już zamówić kolację na wynos. Jeśli nie mogą spędzić wieczoru poza domem, tak jak zaplanował, musiał urządzić go dla niej na miejscu. Jeśli zdoła zagonić dzieci do łóżek przed jego powrotem, istniała duża szansa, że wszystko się uda.

W drodze do Mr. Chow's, gdzie miał odebrać jedzenie i wcześniej zamówione kwiaty, zrobił jeszcze jeden przystanek. Doświadczenie logistyczne z pracy bardzo mu się przydawało, gdy plany uległy zmianie i trzeba było improwizować. Nie była to dla niego żadna nowość.

Mniej więcej godzinę później znów był w garażu. Cała operacja zajęła mu trochę dłużej, niż planował, ale miał nadzieję, że o tej porze dzieci będą już w łóżkach. Przestał więc przejmować się spóźnieniem i skoncentrował wyłącznie na tym, jak uszczęśliwić Whitney na tyle, by w końcu oddała się w jego ręce (nie mówiąc o innych częściach ciała).

W domu okazało się, że żona siedzi z dziewczynkami na sofie i czyta im książkę. Z zadowoleniem zauważył, że się nie przebrała i nadal ma na sobie obcisłą

czerwoną sukienkę. Uwielbiał ją i uważał, że stanowczo zbyt rzadko ją zakłada.

Stanął w drzwiach między kuchnią i salonem, przyglądając się najważniejszym kobietom w jego życiu. Miał nadzieję, że kiedy żona skończy czytać, odprowadzą dziewczynki do łóżek i będą mogli spokojnie zjeść kolację.

Whitney napotkała wzrok męża i uśmiechnęła się do niego. Nie miała zamiaru udawać, że nie poczuła rozczarowania, gdy się okazało, że nic nie wyjdzie z ich pierwszego od prawie roku wieczornego wyjścia. Ale i tak była zadowolona z tego, co miała. W zupełności wystarczało jej to, z jaką miłością patrzył na nią ten fantastyczny facet.

– Koniec – oznajmiła, zamykając książkę.

Ryann i Alex prawie jednocześnie ziewnęły. Jak można się było spodziewać, nie obyło się bez protestów, ale w końcu dały się zaprowadzić do swoich pokoi.

Brady poszedł za nimi, chcąc powiedzieć dobranoc Alex, gdy Whitney będzie z Ryann. Kiedy mijali się w korytarzu, wykorzystał okazję, by złapać żonę w pasie, przyciągnąć do siebie i obdarzyć długim i namiętym pocałunkiem.

– A to z jakiej okazji? – zapytała Whitney, wypuszczając z płuc powietrze.

Jej ciepły oddech owionął skórę Brady'ego, a wtedy kolejny już raz w tym dniu poczuł, z jaką mocą reaguje na nią jego ciało.

– Z takiej samej, jak wcześniej. Bo jesteś piękna i cię kocham – powiedział Brady, wypuszczając ją z objęć i wchodząc do pokoju, w którym spały Ryann i Charlie.

Po uściskaniu Ryann i ucałowaniu słodko śpiącej najmłodszej córki, Brady wrócił do kuchni, żeby rozpakować jedzenie. Potem wstawił bukiet lilii do wazonu i ustawił go pośrodku stołu, obok świeczek.

Kilka minut później w progu pojawiła się Whitney i dosłownie zamarła na widok tego, co przygotował. Zakryła dłonią usta, a w jej oczach zaszklily się łzy.

Romantyczne gesty zdecydowanie nie były w stylu Brady'ego. Nawet kiedy się jej oświadczał, zrobił to w sylwestra, gdy pierwszy raz uprawiali ze sobą seks. Mimo iż wcześniej wiele razy wyobrażała sobie ten najważniejszy w życiu moment, skończyło się na tym, że ukochany, ciężko dysząc, wyznał jej miłość i tuż przed orgazmem oznajmił, że chce z nią być na zawsze. Szczerze mówiąc, tamtej nocy w ogóle nie zdawała sobie sprawy z tego, że to rzeczywiście oświadczyły. Kompletnie ją zaskoczył.

Świece, jej ulubione lilie, potrawy, które pachniały tak jak w Mr. Chow's... To było naprawdę coś, jeśli chodzi o jej męża. Widząc wyraz zdumienia na twarzy Whitney, Brady poczuł się jak skończony głupek. Kobieta, którą kochał, nie powinna się roztkliwiać, bo zamówił dla niej kolację... To mu uświadomiło, jak bardzo zaniedbał ich związek. Owszem, troszczył się o rodzinę, miał dobrą pracę, zapewnił im ładny dom i odganiał chłopaków kręcących się zbyt blisko jego córek, ale nie poświęcał jej wystarczająco dużo uwagi.

Teraz obiecał sobie, że to się zmieni.

– Chciałem cię zabrać do Mr. Chow's i tam miałaś dostać ten bukiet, ale się nie udało, więc przyniosłem go do domu – powiedział Brady, a potem wstał i odsunął krzesło od stołu, żeby mogła usiąść.

Kolacja była doskonała. W trakcie jedzenia Brady gładził kciukiem wierzch jej dłoni. Przez jakiś czas starali się nie rozmawiać o dzieciach, ale wkrótce i tak rozmowa zesłała na ich temat. Nic dziwnego, przecież stanowiły część ich życia, z którego oboje byli zadowoleni, nawet jeśli czasami bywało ciężko.

– Dzięki, Brady. Było wspaniale. Już od tak dawna nie jadłam niczego z Mr. Chow's – powiedziała Whitney, spoglądając na pusty talerz i z westchnieniem prostując się na krześle. – To był świetny pomysł. Muszę ci się przyznać, że trochę się przestraszyłam, kiedy zobaczyłam ten błysk w twoich oczach i usłyszałam słowo „plan”...

– Noc się jeszcze nie skończyła, więc nie trać czujności – ostrzegł ją Brady, wstając od stołu, żeby posprzątać. – Posiedź teraz spokojnie przez kilka minut. Muszę coś zrobić. Przyjdę po ciebie.

Whitney wcale się nie zdziwiła, kiedy zobaczyła, że wchodzi do sypialni. Ostatecznie mogła się spodziewać, że wkrótce tam wylądują i prawdę mówiąc, nie mogła się już tego doczekać. Ale chwilę potem wyszedł stamtąd i skierował się do garażu. Przyglądała mu się, gdy ją mijał z zawadiackim uśmiechem i błyskiem w oku, podziwiając jego zgrabny tyłek w dopasowanych spodniach.

Siedząc w cichym domu, Whitney wydała z siebie westchnienie ulgi. Rzadko miała okazję cieszyć się spokojem. Jeśli po domu akurat nie biegały dzieci, zwykle ryczał telewizor. Przymknęła powieki, przypominając sobie Brady'ego w czerwonej koszuli, idealnie dopasowanej do jego czarnych włosów i oczu, a wtedy poczuła falę ciepła w podbrzuszu.

Nagle doleciał do niej zapach, który zmusił ją do otwarcia oczu i rozejrzenia się po kuchni.

Ostatnią rzeczą, jakiej się teraz spodziewała, było to, że jej mąż będzie robił popcorn. Przez chwilę się nawet zastanawiała, czy nie jest mu on potrzebny do jakiejś nowej zabawy w łóżku. Miała nadzieję, że nie. Trzeba będzie przejrzeć w komputerze historię przeglądanych stron i zablokować świństwa, z których mógł zaczerpnąć podobny pomysł... Jednocześnie starała się nie zastanawiać, do czego można użyć popcornu.

Brady stał przed mikrofalówką, czekając, aż ziarna przestaną strzelać. Przygotował już wszystko w garażu, a to była ostatnia rzecz, której potrzebował. Ponieważ zaplanował wcześniej, że pojedą do kina samochodowego, postanowił nie rezygnować z tego pomysłu.

Kiedy popcorn był gotowy, przesypał go do dużej miski i wyjął z lodówki kilka puszek z napojami. Potem stanął naprzeciw żony, która wpatrywała się w nie-

go okrągłymi ze zdziwienia oczami.

„Czego ona się po mnie spodziewa, że aż tak się boi?” – pomyślał, i wtedy do niego dotarło, że pewnie oczekiwała, że pójda do łóżka, a tymczasem on stoi przed nią z miską popcornu...

– Gotowa na dalszy ciąg randki? – zapytał i odsunął nogą krzesło, gdy wstała, bo miał obie ręce zajęte przez popcorn i puszki.

– Ale... gdzie ty mnie chcesz zabrać? To, że dzieci śpią, wcale nie znaczy, że możemy sobie gdzieś wyjść.

Whitney spojrzała na niego, jakby stracił rozum. To przynajmniej byłoby jakimś sensownym wytłumaczeniem jego zachowania. Trochę się przeraziła, bo przecież wiele razy sam opiekował się dziewczynkami. Czy rzeczywiście siedział wtedy w domu, czy tylko rzucał im krakersy na podłogę i wychodził gdzieś z kumplami?

– No coś ty! Masz mnie za skończonego idiotę? Mam dla ciebie niespodziankę w garażu...

Z ociąganiem poszła za mężem. Nie próbowała sobie nawet wyobrazić, co też może na nią czekać w śmierdzącym, zawalonym gratami garażu. W porównaniu z tym zwiędła róża i walentynka z małpą wydały jej się szczytem romantyzmu.

Brady przytrzymał drzwi, puszczając Whitney przodem. Nie mogąc oderwać wzroku od jej kształtnej pupy, pogratulował sobie w duchu pomysłu. Może nawet wyszło lepiej, niż planował, bo teraz mógł dobrać się do żony, nie przejmując się, że zobaczą ich ludzie z sąsiednich samochodów.

– Wejdz do środka. Wszystko już gotowe.

Whitney posłusznie otworzyła tylne drzwi pikapa. Okazało się, że na siedzeniach zamiast zwyczajowej graciarni w postaci fotelików dziecięcych czy sprzętów sportowych leży kilka koców i pudełek z przekąskami. Na ścianie przed nimi wisiał ekran. Usadawiając się w wygodnym gniazdku, jakie przygotował dla nich Brady, Whitney miała nadzieję, że obejrzą coś zabawnego i romantycznego.

– I co ty na to?

Brady odsunął maksymalnie przednie siedzenia, a potem je złożył, żeby zrobić więcej miejsca z tyłu. Sądząc po jego minie i zadowolonym uśmiechu, nietrudno się było domyślić, że jest z siebie dumny.

– Wszystko wygląda cudownie, ale boję się, że nie usłyszymy dzieci.

Żałowała, że musi to powiedzieć, bo zadał sobie tyle trudu, ale nie dawało jej spokoju, że któraś z dziewczynek może się obudzić.

– O tym też pomyślałem – uspokoił ją mąż z uśmiechem, wskazując na elektroniczną nianię ustawioną na desce rozdzielczej.

Whitney spojrzała na niego z uznaniem – rzeczywiście, wszystko zaplanował.

– No, no, muszę przyznać, że jestem pod wrażeniem. Co będziemy oglądać?

Czekała na odpowiedź, wiedząc, że będzie ostatnim dowodem na to, że jej męża podmieniono w tajemnicy na jakiegoś łudzaco podobnego androida. Gdyby miało się to okazać prawdą, nie była do końca przekonana, czy chce powrotu dawnego Brady'ego.

– Spójrz, teraz będzie najlepsze...

Brady nacisnął przycisk pilota, a wtedy na ekranie pojawiło się menu i tytuł filmu: *300*.

Whitney wydała z siebie cichutki jęk zawodu. Przynajmniej zyskała stuprocentową pewność, że facet, z którym za chwilę będzie się obściskować na tylnym siedzeniu, to rzeczywiście jej mąż...

– Wiem, że podobają ci się tacy aktorzy jak Gerard Butler. Będzie sporo dobrych scen walki, a nawet wątek miłosny...

– Aha. Żona zostawiona sama w domu, która musi się oganiać od facetów, to nie jest wątek miłosny – zauważyła, na co on ją objął i przyciągnął do siebie.

Tak naprawdę nie miało dla niej większego znaczenia, jaki film będą oglądać, bo i tak nie spodziewała się aż tyle po Bradym. Zadał sobie mnóstwo trudu i tylko to się dla niej liczyło. Ułożyła się wygodnie w ciepłych, bezpiecznych ramionach swojego mężczyzny, zadowolona, że jest tą szczęściarą, której oddał swoje serce.

Nie obejrzeliby więcej niż dziesięć minut filmu, gdy Brady zaczął błądzić dłońmi po cudownych krągłościach Whitney. Przeciągając palcami po jej biodrze, dotarł do rąbka sukienki spoczywającego na udzie. Tracąc panowanie nad swoim ciałem, Whitney rozszerzyła lekko nogi w nadziei, że nie zaprzestanie wędrówki po jej ciele.

Ku jej radości właśnie tak się stało. Whitney do tego stopnia skoncentrowała się na tym, co robi w dole jego dłoń, że aż podskoczyła, gdy drugą ręką niespodziewanie prześlizgnął się po jej piersiach. Całkowicie zatraciła się w tym cudownym uczuciu, szczęśliwa, że Brady nareszcie jej dotyka i nikt im nie przeszkadza.

– Mmm, Whit... Mógłbym cię tak dotykać przez cały dzień.

Poczuła na szyi gorący oddech męża, a chwilę potem drgnęła, bo dotknął wargami jej skóry dokładnie w tym samym momencie, gdy jego palce dotarły do majtek.

– Poważnie? Nigdy bym się nie domyśliła – próbowała zażartować, ale jej głos zniżył się do szeptu, a w połowie zdania wyrwało jej się westchnienie, bo poczuła, jak Brady wsuwa palec pod koronkowe majteczki. Drażnił się z nią, a ona mu na to pozwalała... Przynajmniej na razie, bo sobie zasłużył, organizując dla nich wyjątkowy walentynkowy wieczór.

Oboje kompletnie zapomnieli o filmie, gdy błądząca pod jej sukienką dłoń Brady'ego zaczęła zsuwać jej majtki.

– Nie będą ci już potrzebne – wychrypiął niskim, przepelnionym pożądaniem

głosem, nadal wodząc ustami po wrażliwej na dotyk skórze jej szyi.

W odpowiedzi Whitney tylko bezgłośnie jęknęła, wypuszczając powietrze.

Gdy Brady wsunął dłoń pod dekolt sukienki, prześlizgując kciukiem po ukrytym pod koronkową bielizną sutku, miała wrażenie, że wszystkie nerwy w jej ciele eksplodowały rozkoszą. Zawsze było im dobrze w łóżku, ale od dłuższego czasu bez fajerwerków. Aż do teraz.

Whitney poczuła się jak nastolatka, gdy palce Brady'ego znów prześlizgnęły się po jej udzie, docierając w końcu tam, gdzie wzbierała fala gorąca. Była wilgotna z podniecenia i kiedy dotknął wrażliwego miejsca, które nie mogło się go już doczekać, jej spazmatyczny jęk zagłuszył bitewne okrzyki Spartan.

– Kochanie, chcę, żeby ci było dobrze, ale przez cały dzień nie mogłem się ciebie doczekać i chyba zaraz wybuchnę... Chcę cię czuć, być w tobie... – szeptał Brady na skraju ekstazy.

Czuł, że nie jest w stanie dłużej się powstrzymać, a nie chciał narobić sobie wstydu i skończyć jak nastolatek przy pierwszym w życiu pornolu.

Whitney cicho stęknęła, po czym oderwała się od męża. Odsuwając się nieco do tyłu, przesunęła dłońmi po ciele Brady'ego, niespiesznie rozpinając guziki jego koszuli, jakby chciała mu się zrewanżować za słodkie tortury. Gdy w końcu jej oczom ukazała się jego szeroka klatka, pochyliła się i przeciągnęła językiem wzdłuż biegnącego w dół paska włosów. Jej dłonie w tym czasie były zajęte rozpinaniem paska i spodni. Gdy już się z nimi uporała, musnęła lekko dłonią imponujących rozmiarów wybrzuszenie w bokserkach, aż Brady syknął przez zaciśnięte zęby.

– Błagam, Whit... Zaraz eksploduję. Muszę cię mieć, kotku – wykrztusił.

Whitney cichutko się zaśmiała, klepiąc go po udzie, żeby uniósł biodra i ułatwił jej zdjęcie bokserek. Kiedy przestały go uwierać, myślał już tylko o tym, że nareszcie doczekał się tego, czego pragnął przez cały dzień. Mógł się kochać ze swoją przepiękną żoną.

Whitney ostrożnie uniosła się i usadowiła nad jego biodrami, przez co jej sukienka podjechała mocno do góry. Gdy opuściła się na Brady'ego, oboje jednocześnie wydali z siebie westchnienie rozkoszy.

– Och, Whitney... Kocham cię – wyszeptał, unieruchamiając dłońmi jej biodra, żeby się przyzwycząić do upajającego uczucia bliskości. Był prawie pewien, że gdyby teraz się poruszyła, byłoby po wszystkim.

Kiedy ostudził się na tyle, że był w stanie się w niej poruszać, uniósł się do góry, wspierając dłonie na biodrach Whitney.

Kiedy po kilku minutach Whitney odnalazła własny rytm, Brady przesunął dłońmi w górę jej ciała i rozsunął sukienkę, by dotrzeć do jej wspaniałych piersi. Złapał wargami przez koronkowy materiał jeden ze stwardniałych sutków i zaczął go drażnić językiem, jednocześnie krążąc kciukiem wokół drugiego.

Z ekranu dobiegały odgłosy walki, zlewając się z ich miłosnymi jękami. Brady ani na moment nie spuszczał wzroku z żony, która prowadziła go do najsilniejszego orgazmu, jakiego kiedykolwiek doświadczył. Gdyby w tym momencie był w stanie sklecić jakąś sensowną myśl, pewnie doszedłby do wniosku, że seks w romantycznych okolicznościach jest milion razy lepszy niż po jednej przywiedłej róży i walentynce z małpą.

– Brady... – jęknęła Whitney.

Zacząła drżeć na całym ciele i Brady poczuł jej skurcze, sam również bliski orgazmu. To było tak oszałamiające uczucie, że musiał zanurzyć się w nią głębiej. Uniósł się gwałtownie, przyciskając Whitney do złożonego fotela, i zaczął poruszać się w niej mocniej i szybciej.

Nagle usłyszeli głośny sygnał klaksonu. Okazało się, że to wina zagłówka złożonego siedzenia, na którym leżała Whitney i który rytmicznie uderzał w kierownicę. Brady wiedział, co się dzieje, ale nie potrafił przestać. Oboje byli do tego stopnia pochłonięci sobą, że nie zwracali najmniejszej uwagi na hałas.

Kiedy już się nasycił, a Whitney ucichła, wydając z siebie od czasu do czasu cichutki jęk i błądząc dłońmi po jego plecach, popatrzył na nią. Szminka na jej nieskazitelnie wcześniej umalowanych ustach była teraz całkiem rozmazana, a pieczołowicie ułożone włosy rozwichrzone i splątane. Dla niego jednak była najpiękniejszą kobietą, jaką w życiu widział.

– Rany... – wyszeptała Whitney i w tym samym momencie zamigotały lampki elektronicznej niani, a z głośnika dobiegł jednoczesny płacz Charlie i Ryann.

Spojrzeli po sobie, wybuchając śmiechem. Brady zdawał sobie sprawę, że to on je obudził klaksonem, ale nie przejmował się, że muszą powrócić do rzeczywistości. To było ich życie. Świadomość, że szli przez nie razem, była najcudowniejszą rzeczą nas świecie.

– Ja pójdę, wyglądam chyba trochę lepiej – westchnęła Whitney, a potem schyliła się po porzucone na podłodze majtki, założyła je i wyszła z samochodu. – Doprowadź się do porządku i przyjdź do mnie. Nie dałam ci jeszcze prezentu na walentynki.

Brady stęknął, mając nadzieję, że po jego otwarciu nareszcie zobaczy swoją żonę nago. Patrzył na Whitney, aż zniknęła za drzwiami, napawając się każdym szczegółem jej idealnego ciała, a potem zaczął sprzątać bałagan.

Kiedy dotarł do sypialni, usłyszał, jak do umywalki leje się woda, a to oznaczało, że Whitney musiała się szybko uporać z ponownym uśpieniem dzieci. Stawiając elektroniczną nianię na toaletce, zauważył zwiedłą różę i kartkę. Nie musiał nawet brać jej do ręki, żeby się domyślić, co na niej jest.

Roześmiał się, ale niemal natychmiast ucichł, bo drzwi do łazienki otworzyły się i stanęła w nich Whitney w czerwonym satynowym gorsecie i majteczkach do

kompletu.

– Szczęśliwych walentynek – powiedziała, podchodząc do niego, a on wyciągnął ręce i przyciągnął ją do siebie.

– Kocham cię.

– Ja też cię kocham. I wiesz co, to wszystko naprawdę nie było potrzebne. Kocham cię, bo jesteś fantastycznym facetem i świetnym tatą, nawet jeśli czasem popełniasz błędy. – Uśmiechnęła się do niego, a wtedy sięgnął ustami do jej warg.
– Chociaż skoro już wiem, na co cię stać...

Whitney wyslizgnęła się z objęć Brady’ego, weszła na łóżko i przysiadła na stopach. Widząc ją w zmysłowej bieliźnie, Brady zachwiał się lekko na nogach.

– Jeśli jeszcze raz dasz mi na walentynki zwiędłą różę i kartkę z małpą, nie dotkniesz mnie aż do Gwiazdki – rzuciła ze śmiechem, a wtedy Brady rzucił się i przygniótł ją ciałem, napierając na jej brzuch nabrzmiałą z pożądania męskością.

– Nie martw się, kochanie. Nie wiem tylko, czy dostałem wystarczającą naukę... – szepnął jej do ucha

– To będzie nauka przez powtarzanie. Może zająć całą noc – odparła Whitney, przywierając do niego biodrami, aż jęknął z podniecenia.

– Tato! Tatusiu!

Stojąca na komodzie elektroniczna niania zamigotała, a w pokoju rozległo się przestraszone wołanie Ryann.

Brady opuścił ze zrezygnowaniem głowę na ramię Whitney i wydał z siebie przeciągłe westchnienie.

– Tatuuuuusiu!

– Idź – odezwała się, lekko go odpychając. – Nigdzie ci nie ucieknę, a poza tym mamy dla siebie całą noc. Zajmij się małą i wypędź potwory.

Kiedy Brady zwłókł się z łóżka, dopadł go ten sam nieprzyjemny ból co rano, aż ze świstem wciągnął powietrze. Tym razem jednak wiedział, że nie będzie długo czekał na spełnienie.

Patrząc w ślad za wychodzącym z sypialni mężem, Whitney uświadomiła sobie, że mimo iż nie udało im się spędzić dnia zakochanych tak jak planowali, i tak prezent był o wiele lepszy od przywiedłej róży i walentynki z małpą.

Powrót do domu

Victoria Michaels

Savannah London wjechała na podjazd domu rodziców tuż po trzeciej nad ranem. Samolot z Nowego Jorku spóźnił się z powodu silnych opadów śniegu, potem miała połączenie do Memphis, ale trzeba było poczekać na odladanie, więc gdy w końcu wylądowała w Missisipi, było już dobrze po północy. Całe szczęście, że wypożyczalnia samochodów była czynna przez całą dobę. Wrzuciła walizkę do bagażnika i z wielkim kubkiem kawy w dłoni ruszyła w drogę do oddalonego o godzinę jazdy rodzinnego miasta.

Dom. Miejsce, w którym dorastała. Nie odwiedzała go już prawie od roku. Nawet na studiach udawało się jej bywać tu częściej, teraz jednak najważniejsze były praca i kariera. To jedna z rzeczy, jaką musiała poświęcić, żeby jej życie mogło się toczyć zgodnie z dobrze ułożonym planem.

Jadąc autostradą, nie mogła się powstrzymać, by nie opuścić szyby i nie poddychać przez chwilę nocnym powietrzem. Zmęczona koszmarnie długą podróżą, nie miała ochoty na nic innego, jak tylko rzucić się na łóżko, zaszyć pod kołdrą i spać aż do południa.

Nic z tego. Już bladym świtem dobiegły do niej odgłosy stukania młotkiem i głośna muzyka. Wyrwana gwałtownie ze snu zerknęła na budzik, czując narastającą furję. Usiadła na łóżku i w tym samym momencie wydała z siebie głośny okrzyk na widok brodatego faceta za oknem, który wspinając się po drabinie, bezczelnie puścił do niej oko.

– Mamo! – zawołała, zakładając szlafrok i otwierając drzwi sypialni. Zbiegła pędem po schodach, jak to robiła niezliczoną ilość razy w dzieciństwie, a potem wpadła jak burza do kuchni, ślizgając się w skarpetkach po drewnianej podłodze. – Co to za zwierzak zrywa dach?!

Matka nieśpiesznie odwróciła się od kuchenki, niosąc w rękach blachę świeżo upieczonych bułeczek.

– Dzień dobry, słoneczko. Głodna? – zapytała, wskazując stół.

Savannah gniewnym ruchem porwała z tacy dwie bułeczki.

– Nie, raczej wykończona. Wszystko przez tę cholerną orkiestrę na dachu. – Na stole nie było masła, więc podeszła do lodówki i wetknęła głowę do środka w poszukiwaniu żółtego pudełka. – Wyobraź sobie, że jakiś facet zaglądał przez okno do mojego pokoju! A gdybym była naga?! – rzuciła i zatrzasnęła z furją drzwi lodówki. W tym samym momencie za jej plecami rozległ się głęboki szczyry śmiech.

– Wtedy miałby fart!

Na dźwięk tego głosu Savannah zamarła w bezruchu, zupełnie jakby mięśnie

odmówiły jej posłuszeństwa. Jej umysł nakazywał ciału czym prędzej uciekać albo gdzieś się schować, bo musiała wyglądać fatalnie, skoro przed momentem zerwała się z łóżka, ale jej zdradzieckie stopy zmusiły ją, żeby się odwróciła i stanęła twarzą w twarz z jedynym facetem, który od lat przyprawiał ją o szybsze bicie serca i spocone dłonie – Jacksonem Whittakerem. Biorąc pod uwagę, że serce omal nie wyskoczyło jej z piersi na jego widok, nic się pod tym względem nie zmieniło.

Miał brązowe włosy, takie jak dawniej, długie i kręcone, które wchodziły mu do oczu i opadały luźno na kark. Na policzkach i silnie zarysowanej szczęce widniał kilkunniowy zarost, a jego błękitne oczy były tak samo jasne i zniewalające jak zawsze. Górował nad nią wysoką i muskularną sylwetką, a pod jego spraną koszulką kryła się wyrzeźbiona klatka i szerokie ramiona, których aż chciało się dotknąć. Innymi słowy, ideał w dżinsach – taki właśnie był Jackson.

Znali się od dzieciństwa i praktycznie od początku między nimi iskrzyło. Rodzice mawiali, że są jak ogień i woda, co trafnie oddawało wybuchowy charakter ich relacji. Jednak z biegiem lat Savannah coraz bardziej zdawała sobie sprawę ze swoich uczuć do Jacksona. Podobał się jej, i to bardzo. Do tego stopnia, że wkurzało ją to prawie tak mocno, jak on sam.

Byli przeciwieństwami. Jacksona wszyscy lubili, do niej zaś przylgnęła łątką „trudnej”, co w dużej mierze zawdzięczała niewyparzonemu językowi. On miał w szkole mnóstwo przyjaciół, ona trzymała się na dystans, często odtrącana przez koleżanki, bo zawsze mówiła to, co myśli.

Kiedy byli dziećmi, Jackson wkurzał ją do tego stopnia, że często miała ochotę go udusić, ale w szkole średniej zaczęło się to zmieniać. Kiedy wchodził do klasy, jej serce zaczynało bić szybciej, aż do momentu, gdy uśmiechnął się do którejś z dziewczyn. Wtedy życzyła mu jak najgorzej. Zazdrość ją męczyła, więc wykorzystywała swój cięty język i elokwencję, żeby nieustannie się z nim drażnić, ukrywając w ten sposób swoje prawdziwe uczucia.

Przyglądając mu się teraz z drugiego końca kuchni, miała wrażenie, że czas stanął w miejscu.

– A ty skąd się tu wzięłaś?

Zabrzmiało to znacznie ostrzej, niż chciała, i pewnie każdy inny facet poczułby się urażony, ale nie Jackson. Nic nie stracił z dawnej pewności siebie. Z bezczelnym, a zarazem czarującym uśmiechem oparł się plecami o kuchenny blat, po czym sięgnął po ciasteczko.

– Savannah Jane, nie tak cię wychowałam. Nie powinnaś w ten sposób zwracać się do gościa, a co dopiero do Jacksona! Wiedz, że zerwał się z samego rana, żeby pomóc naprawić ciekący dach. Jest dla nas jak rodzina. Natychmiast go przeproś!

Savannah poczuła, jak jej policzki zaczynają płonąć z powodu reprimendy, jaką dostała od matki w jego obecności. Skinęła lekko głową w kierunku Jacksona,

a z jej ust wydobyło się niemal niedosłyszalne:

– Przepraszam.

Jackson znalazł ją jednak jak własną kieszeń i nie miał zamiaru tak łatwo odpuścić. Podszedł do stołu i odsunął jej uprzejmie krzesło, a kiedy usiadła, nachylił się nad nią i spytał:

– Co powiedziałaś? Bo nie dosłyszałem.

Savannah od razu się zirytowała, a jej mama z trudem stłumiła śmiech, widząc jednak, że córka aż otworzyła usta z oburzenia, czym prędzej odwróciła się do zlewozmywaka, czując nadciągającą burzę.

– Powiedziałam, że przepraszam, ale zaczynam tego żałować.

Poczochnął jej lekko włosy, a potem opadł na krzesło tuż obok i nalał sobie kawy.

– Nadal bywasz rano zła jak osa, co, Vannah?

Savannah ukryła twarz za włosami i przygryzła policzek, żeby powstrzymać się od uśmiechu na dźwięk znanego przezwiska, jakie wymyślił dla niej w dzieciństwie. Już od dawna nikt jej tak nie nazywał i za każdym razem, gdy je słyszała, jej myśli momentalnie wędrowały do Jacksona. Nic mu jednak nie odpowiedziała, zaczęła tylko bezwiednie bawić się cienkim łańcuszkiem.

Życie w Nowym Jorku było niesamowite, dynamiczne i intensywne, podobnie jak kancelarie prawnicze na Manhattanie. Uwielbiała miasto i swoją pracę, w której rozwinęła skrzydła. Po raz pierwszy w życiu miała poczucie, że w końcu zmierza we właściwym kierunku. W oczach rodziny bardzo wiele osiągnęła – była kobietą sukcesu.

Savannah skończyła studia z wyróżnieniem o semestr szybciej i bez wahania opuściła rodzinne miasteczko. Odważnie wyruszyła sama na podbój wielkiego miasta, w którym świetnie się urządziła. Zdaniem bliskich miała wszystko.

Krok ten był przemyślany i dokładnie zaplanowany. Po skończeniu studiów zaczęła się dusić w rodzinnych stronach. Poza tym coraz trudniej jej było znosić obecność Jacksona i widywać go z innymi dziewczynami, wiedząc, że nigdy nie będzie między nimi nic więcej prócz odrobiny chemii i słownych zapasów.

Czując silną potrzebę odmiany, Savannah spędziła kilka tygodni na przeglądaniu informacji na temat kancelarii prawniczych w Nowym Jorku, żeby znaleźć tę, która zapewni jej możliwość rozwoju i awansu w jak najkrótszym czasie. Zniecierpliwiona oczekiwaniem na to, co przyniesie jej życie, postanowiła wziąć sprawy w swoje ręce.

Gdy wysiadła z zakurzonej taksówki i spojrzała na drapacze chmur górujące nad ulicami Manhattanu, wiedziała, że podjęła właściwą decyzję. To było jej miejsce. Miejsce, w którym spełnią się wszystkie jej marzenia.

Przekonany, że brak reakcji ze strony Savannah oznacza jego zwycięstwo w słownej potyczce, Jackson mrugnął do niej, wyraźnie z siebie zadowolony, jej

jednak nie było do śmiechu i znów go zaatakowała:

– Moje samopoczucie byłoby znacznie lepsze, gdyby jakiś zboczeniec nie gapił się bladym świtem w moje okno – warknęła.

– José.

– Co?

– Twój zboczeniec. Powinnaś wiedzieć, jak ma na imię.

Rozwścieczona Savannah rzuciła w niego kawałkiem ciasta, za co mama obrzuciła ją karcącym spojrzeniem.

– Nie o tym rozmawiamy.

– Zachowuj się – powiedziała niemal bezgłośnie mama, zabierając talerz ze stołu.

Zaraz potem przeprosiła ich i wyszła, uśmiechając się pod nosem.

Kiedy nie mogła ich już usłyszeć, Jackson nachylił się do Savannah i wyszeptał:

– Ach ten prawnik w tobie. Zawsze ostatnie słowo musi należeć do ciebie co, Vannah?

– A ty musisz być wkurzający. Jak zawsze.

Czuła, że na nią patrzy, więc wbiła wzrok w talerz. Woląa liczyć okruszki, niż dać po sobie poznać, że po raz kolejny zaszedł jej za skórę. Jej zły nastrój dodatkowo pogłębiało to, że jest zabójczo przystojny i nie potrafiła myśleć o niczym innym, jak tylko o tym, że ma ochotę go pocałować. Doprowadzało ją to do szału już od kilku lat. Ten facet był chodzącym symbolem seksu, z czego doskonale zdawał sobie sprawę. Uparł się, żeby ją wkurzać, a ona z jakiegoś powodu uważała, że to na swój sposób urocze.

– Jezu, moglibyście wreszcie z tym skończyć i się pocałować! – rozległ się donośny głos Marcy, starszej siostry Savannah, która znienacka pojawiła się w drzwiach i kręciła z niedowierzaniem głową, widząc, jak patrzą na siebie ponad stołem. Potem podeszła do szafki, wyjęła z niej szklankę i naląa sobie soku, niezrażona tym, że Savannah wpatruje się w nią z otwartymi ustami, wstrząśnięta jej tupetem.

– Dzień dobry, Marcy. Pięknie wyglądasz – odezwał się Jackson ugrzecznionym tonem, żeby jeszcze mocniej zdenerwować Savannah.

– Nie rób sobie ze mnie jaj, Jackson. Pewnie nie pamiętasz, ale zmieniałam ci pieluchy.

Marcy pocałowała młodszą siostrę w głowę, jednocześnie szepcząc jej do ucha:

– Mówię poważnie. Zaciągnij go wreszcie do łóżka. Przecież już od dawna macie się ku sobie.

Savannah przewróciła teatralnie oczami, ale choć przenigdy nie odważyłaby się powiedzieć tego na głos, w duchu przyznawała siostrze rację. W ich relacji było

coś niedopowiedzianego. Przez większość czasu się kłócili, ale pomiędzy przekomarzaniem następowały chwile ciszy, takiej jak teraz, gdy on tylko się uśmiechał i patrzył na nią, jakby była dla niego jedyną kobietą na świecie. Savannah nie potrafiła się oprzeć jego urokowi i czasami – choć w życiu by się do tego nie przyznała – zdarzało jej się zastanawiać, jak mogłoby wyglądać ich wspólne życie.

– Jak malutka?

Twarz Marcy rozszerzyła się w uśmiechu.

– Istny aniołek.

– Ma to po mamie.

– Raczej po cioci Savannah.

Marcy i Jackson jak na komendę wybuchnęli głośnym śmiechem.

Rozdrażniona Savannah podeszła do zlewu i wrzuciła talerz do wody z pianą.

– A już miałam ci zaproponować, że jej wieczorem popilnuję, żebyście mogli z Andym gdzieś wyskoczyć. No, ale skoro taka ze mnie diablica...

Zanim zdążyła dokończyć, Marcy już wisiała na jej szyi.

– Naprawdę mogłabyś? Mama i tata mają dziś wieczorek taneczny w klubie, więc myślałam, że jesteśmy uziemieni... Na pewno możesz?

Savannah mrugnęła porozumiewawczo do siostry, a potem pociągnęła ją za jeden z jej bujnych blond loków.

– Najpierw opowiedz Jacksonowi, jakim jestem aniołem.

– Och, Savannah to prawdziwy skarb... Ale ty i tak dobrze o tym wiesz, prawda, Jackson? – Tym razem to on się zaczerwienił, co nie uszło uwadze Savannah. – Muszę powiedzieć Andy'emu, że ma mnie dziś zabrać na randkę... Przywieziemy Jennie koło siódmej, może być?

Marcy dopiła sok i pospiesznie wybiegła z domu, zostawiając ich samych.

Kiedy Jackson wstał od stołu, by sprzątnąć talerz, pomieszczenie wydało się Savannah znacznie mniejsze niż w rzeczywistości. W jego obecności nagle traciła całą pewność siebie, a to mocno ją drażniło. Był tak blisko, że dosłownie czuła ciepło emanujące z jego szerokiej klatki piersiowej i ostry zapach wody kolońskiej. Z niepokojem przypomniała sobie o swoim rozchylonym kusym szlafrocuku, pod którym miała tylko koszulkę na ramiączkach i szorty do spania.

– To miłe z twojej strony, Vannah.

Jego niski głos zadźwięczał w jej uszach, sprawiając, że po jej plecach przeszedł dreszcz. Wyciągnął rękę i odgarnął jej z twarzy pasmo włosów, zakładając je za ucho.

– No, tylko nikomu nie mów. Muszę dbać o reputację bezwzględnego i krwiożerczego prawnika.

Starła się tego uniknąć, ale w końcu się poddała i uniosła głowę, patrząc mu prosto w oczy. Zawsze ją zaskakiwał ich intensywny błękit. Jej były takie same.

Czasami, kiedy na niego patrzyła, mogłaby przysiąc, że spogląda w lustro. Do tego stopnia, że wręcz się obawiała, że potrafi zajrzeć do jej duszy, zna jej najskrytsze myśli i wie, co do niego czuje.

– Będę milczał jak grób!

Już od dłuższego czasu stali twarzą w twarz, tak blisko, że prawie się dotykali. Jego wzrok raz po raz ześlizgiwał się na jej wargi, aż serce jej przyśpieszyło, a żołądek zaczął wywracać koziółki w oczekiwaniu na to, co się wydarzy. Nie była zadowolona, że jej ciało w ten sposób na niego reaguje. Potrafiła bez mrugnienia okiem przesłuchiwać w sądzie najgroźniejszych kryminalistów, a wystarczyło jedno spojrzenie tego faceta, by zaczynała drzeć na całym ciele.

Powoli przejechała językiem po dolnej wardze, na widok czego pociemniały mu oczy. Rozchylił usta i nachylił się do jej ust...

– Savannah! Kochanie!

– Cześć, tato – rzuciła z westchnieniem, rozczarowana tym, że magiczna chwila bezpowrotnie minęła.

Jackson odskoczył od niej prawie na drugi koniec kuchni, a ona otuliła się szczerzej szlafrokiem, starając się zachowywać swobodnie, jakby nic się nie wydarzyło.

Ojciec przeniósł wzrok to na jedno, to na drugie, a potem spytał z uśmiechem:

– Ojej, mam nadzieję, że w niczym wam nie przeszkodziłem?

– Nie, proszę pana – odparł Jackson z pełnym szacunku skinieniem. – Właśnie się zbierałem, żeby wejść na dach i zobaczyć, jak José sobie radzi...

Ojciec Savannah wziął z kuchennego blatu kluczyki od samochodu, a potem poklepał Jacksona po plecach.

– Jeszcze raz dziękuję, że przyszedłeś. Wiem, że masz dużo roboty w swojej firmie budowlanej. Zawsze jesteś taki uprzejmy – powiedział, a potem odwrócił się do córki. – Savannah, jedziemy na zakupy. Aha, mama prosiła, żeby ci przypomnieć, że masz być... ekhm... miła. Pamiętaj, do posłańców się nie strzela!

Kiedy ojciec wyszedł, Savannah nie wytrzymała i w końcu wybuchła:

– Czy wszyscy stracili rozum?

Jackson tylko się uśmiechnął, co jeszcze mocniej ją rozdrażniło. Rzuciła się na niego, dźgając go palcem prosto w tors.

– Idę na górę wziąć prysznic. Trzymaj swoją ekipę z dala od mojego okna.

Złapał ją za nadgarstek i zanim zdążyła mu się wyrwać, uniósł jej dłoń do ust i musnął wargami koniuszki jej palców.

– Przyrzekam. Co więcej, będę osobiście bronił do niego dostępu.

Wcale jej to nie uspokoiło, a wręcz przeciwnie: na widok jego łobuzerskiego uśmiechu serce zabiło jej szybciej. Starając się ze wszystkich sił zachować stoicki spokój, zrobiła krok w tył i nie mogąc się powstrzymać, rzuciła na odchodne:

- Jeśli cię zobaczę za oknem, przysięgam, że zepchnę cię w krzaki.
- Jeśli zrobisz to nago albo w samym ręczniku, nie mam nic przeciwko.

Jego gardłowy śmiech gonił ją, gdy wchodziła po schodach na górę. Gdy zatrzasnęła za sobą drzwi, oparła się o nie plecami, uderzając lekko głową o twarde drewno.

– Nawet o tym nie myśl, Savannah, nic z tego nie będzie. Przyjechałaś na trzy dni. Masz fantastyczne życie w Nowym Jorku. Czegoś takiego nie było w twoich planach – napomniała się, wchodząc do łazienki.

Savannah spędziła całe popołudnie w kuchni z mamą, pomagając jej upiec ponad setkę ciasteczek na wieczorek taneczny, na który rodzice wybierali się wieczorem. Jackson wetknął na chwilę głowę do kuchni, gdy pierwsza partia wypieków była gotowa i w powietrzu rozszedł się smakowity zapach. Puszczając do Savannah oko, porwał garść jeszcze ciepłych ciasteczek, a potem zniknął z powrotem na dachu, nie zamieniając z nią ani słowa.

Późnym popołudniem się zorientowała, że odgłosy młotka ustały i w domu znów zapanowała cisza. Chcąc złapać Jacksona, zanim pójdzie do domu, prędko wymyśliła pretekst, żeby się z nim zobaczyć i raz na zawsze mu pokazać, gdzie jest jego miejsce.

– Mamo, idę po pocztę! – zawołała, wkładając buty.

Jakby czytając w myślach córki, mama wychyliła głowę z kuchni i oznajmiła:

– Jackson już poszedł, skarbie. Razem z José wyszli jakieś dwadzieścia minut temu. Słyszałam, jak mu mówił, że ma jakieś plany na wieczór i musi się przygotować.

Jasne, że miał plany na wieczór. Przecież był atrakcyjny i seksowny... Która kobieta nie chciałaby umówić się z takim facetem?

Przygnębiona Savannah odwróciła się i zamiast wyjść na zewnątrz, ruszyła po schodach do swojego pokoju.

– Wszystko w porządku, skarbie?

– Ze mną? Tak, mamo, świetnie.

– Savannah, czy ty...

Nie pozwoliła mamie dokończyć pytania. Wypowiedziane na głos uświadomiłoby jej z całą mocą jej obecną sytuację.

– To i tak nie ma znaczenia, mamo. Przyjechałam na kilka dni, a potem wracam do Nowego Jorku.

– Ale jakiś czas temu mówiłaś, że się zastanawiasz, czy stamtąd nie wyjechać. W naszym mieście też przydałby się dobry prawnik.

Savannah pokręciła głową, aż jej długie blond włosy rozsypały się na

wszystkie strony, zasłaniając oczy.

– Niczego już nie jestem pewna. Mam własne życie w Nowym Jorku, jest super. Ale tęsknię za wami... wszystkimi. – Machnęła ręką. – Muszę się przebrać. Marcy zaraz przywiezie Jennie.

Wypłakawszy się w zaciszu swojego pokoju, Savannah przebrała się i zapatrzyła w lustro. Była inteligentna i przebojowa, ale przy tym zbyt głupia, żeby cokolwiek zrobić ze swoim zadurzeniem w Jacksonie. Rozmyślała o tym niejednemu raz, choć nigdy nie dopuszczała do siebie myśli, że mogliby być razem. Wyjechała na studia, a potem do Nowego Jorku, ale on ani na chwilę nie zniknął z jej serca.

W jej życiu wszystko się zmieniło w szkole średniej, gdy szkolny pedagog żartobliwie zasugerował, że powinna zostać prawnikiem. Nagle znalazła dla siebie miejsce, w którym jej upór i nieustępliwość zostaną docenione i uznane za zaletę, a nie wadę. Dzięki determinacji i analitycznemu umysłowi udało jej się zdobyć pracę w Nowym Jorku, odniosła sukces. Wszystkie elementy jej misternego planu stopniowo układały się w całość. Pochłonięta dzień i noc jego realizacją, miała pewność, że jej myśli nie będą wędrować gdzieś indziej...

Do niego.

Wpatrując się w odbicie swoich smutnych oczu w lustrze, nagle uświadomiła sobie, że jej życiowe plany i upór być może pozbawiły ją jedynej rzeczy, na której tak naprawdę jej zależało, choć nie zdawała sobie z tego sprawy.

Przeczesała palcami bujne włosy, ześlizgując je na pięknie szlifowany kamień, który zawsze nosiła. Przekonana, że przynosi jej szczęście, zamknęła oczy i w myślach wypowiedziała życzenie: żeby spotkało ją coś dobrego. Potem uśmiechnęła się przelotnie do swojego odbicia i słysząc głośnie pukanie do drzwi, pospieszyła na dół.

Na ganku stała Marcy, trzymając na rękach ciasno opatuloną Jennie.

– Spójrz, to twoja ciocia Savannah!

Jennie była śliczna. Odziedziczyła po mamie bujne loki, a po tacie ich miedziany kolor. Jeszcze słodsza, niż gdy ostatnim razem ją widziała, wyciągnęła rączki i przesłała jej uśmiech, od którego stopniało jej serce.

– Hej, maleńka – zagruchała Savannah, gdy mała podniosła na nią błękitne oczy. – Będziemy się świetnie bawić, pod warunkiem, że na mnie nie zwymiotujesz.

– Ten etap ma już za sobą – odezwał się Andy, ciężko wzdychając. Pocałował szwagierkę w policzek i postawił u jej stóp trzy wypchane torby. – Proszę, same niezbędne rzeczy, jak twierdzi twoja siostra. Przy okazji, dzięki za wszystko!

Savannah machnęła ręką.

– To dla mnie przyjemność. Rodzice już wyszli do klubu, więc przyda mi się

towarzystwo.

Marcy zaczęła jej udzielać szczegółowych wskazówek, jak zrobić mleko w butelce, dobrze je wymieszać i sprawdzić, czy ma odpowiednią temperaturę. Na koniec zademonstrowała, jak należy trzymać Jennie podczas karmienia. Gdy doszła do zmiany pieluchy, zniecierpliwiona Savannah nie wytrzymała i stanowczo wyprosiła ją i Andy'ego z domu, życząc obojgu miłego wieczoru.

Kiedy drzwi się za nimi zamknęły, pocałowała główkę Jennie, która bawiła się jej błyszczącym naszyjnikiem.

– Wygląda na to, mała, że zostałyśmy same. Tylko ty i ja.

Nie zdążyła odejść dalej niż na kilka kroków od drzwi, gdy nagle usłyszała, że ktoś gwałtownie puka w szybę.

– Twoja mama to prawdziwa wariatka – szepnęła do uszka Jennie i z głośnym westchnieniem sięgnęła do klamki.

– Marcy, przysięgam, żartowałam, że nakarmię ją piersią. To tylko...

Słowa uwięzły jej w gardle, bo stanęła twarzą w twarz z Jacksonem Whittakerem.

Wyglądał jak marzenie. Miał na sobie dżinsy i czarną koszulę, która ciasno opinała mu klatkę piersiową. Pod materiałem widać było grę mięśni, gdy przecesał palcami włosy, a potem nerwowo podrapał się po karku. W rękach trzymał torbę z jedzeniem, bukiet kwiatów i butelkę wina.

– Jackson?

– Cześć, Vannah. Mogę wejść?

– Jasne, to wolny kraj. – Zrobiła krok do tyłu, żeby go przepuścić i powoli zamknęła drzwi. – Zapomniałeś czegoś?

Jackson pomachał Jennie, która na jego widok wydała z siebie radosny pisk, a potem spojrzał zdezorientowany na Savannah.

– Nie. Dlaczego tak myślisz?

– No wiesz, dziś walentynki. Mama mówiła, że nie mogłeś wytrzymać, żeby nie pochwalić się José gorącą randką, na którą jesteś umówiony – warknęła Savannah, starając się jednocześnie odwieść Jennie od szarpania za jej naszyjnik.

Widząc, co się dzieje, Jackson odłożył swoje rzeczy na podłogę i pośpieszył jej na ratunek.

– Chodź, księżniczko. Wiem, że wszyscy czasami mamy ochotę udusić ciocię Vannah, ale szkoda byłoby jej ulubionego naszyjnika, więc tym razem daj spokój.

Zaśmiał się, ostrożnie wyjmując dziecko z jej rąk i sadzając je sobie na barana. Jennie momentalnie zanurzyła swoje niecierpliwie paluszki w jego czuprynie i zaczęła szarpać go za włosy.

Nadal nie mając pojęcia, co Jackson właściwie robi w salonie rodziców, Savannah obrzuciła pytającym wzrokiem leżące na podłodze rzeczy.

– Kwiaty, smakołyki, wino? Wygląda na to, że jakaś kobieta się dziś ucieszy. Z największym wysiłkiem zdobyła się na uśmiech, jednocześnie rozmyślając, czy uszłoby jej na sucho, gdyby włożyła Jennie w nosidełko i spróbowała wysledzić, kim jest ta flądra.

– Myślisz? – Uśmiechnął się od ucha do ucha, nawet nie próbując ukryć entuzjazmu. – Miałem nadzieję, że jej się spodoba.

– Brakuje tylko deseru... No, chyba że chowasz go w tylnej kieszeni. – Savannah odebrała od niego Jennie, żeby mógł pozbierać swoje rzeczy. – Na pewno nie chcesz, żeby na ciebie czekała – wysyczała przez zaciśnięte zęby, oczami wyobraźni widząc, jak jakaś kobieta zarzuca ręce na szyję Jacksona.

Podniósł kwiaty z podłogi i lekko musnął palcami ich delikatne płatki.

– Dowiedziałem się przypadkiem, że dziewczyna, z którą chcę spędzić wieczór, całe popołudnie piekła z mamą pyszne ciastka i po cichu liczę, że ma jeszcze kilka schowanych w kuchni.

Savannah spojrzała na niego osłupiałym wzrokiem, mrugając szybko oczami i starając się zrozumieć, o czym mówi.

– Że co?

Położył dłoń na jej policzku i niespodziewanie musnął ustami jej wargi.

– To wszystko dla ciebie, Vannah! Będziesz moją walentynką?

– Ja?

Przeszła chwiejnym krokiem do salonu i włożyła Jennie do kojca, który przytaszczył Andy. Kiedy poczuła, że mocne ramiona Jacksona obejmują ją w talii, odwróciła się do niego i spojrzała mu w oczy.

– Tak, ty. Od kiedy twoja mama wspomniała, że przyjeżdżasz, przez cały czas się głowiłem, co zrobić, żeby się tu wprosić. Miałem nawet zamiar poprzecinać przewody, wtedy mógłbym przyjsć naprawiać światło i się z tobą zobaczyć... – Po tych słowach delikatnie przeciągnął palcami po jej policzku. – Ale przydarzyła się ta historia z dachem i mi się poszczęściło.

– Ale skąd ta zmiana? Dlaczego teraz?

Savannah wciąż jeszcze nie mogła wyjść z osłupienia, nie wierząc, że to się dzieje naprawdę.

Jackson wyraźnie się zawstydził, czerwieniąc się i uciekając spojrzeniem w bok, żeby uniknąć jej wzroku.

– Widziałem zdjęcia. Twoje i... sztywniaka.

– Kogo?

– Faceta. Tego w smokingu od Armaniego.

Zauważyła, jak przy tych słowach napięły mu się mięśnie szczęki. Kiwnął głową w kierunku kominka, na którym stała oprawiona w ramki fotografia Savannah z chłopakiem, z którym rozstała się już dawno temu, zrobiona przy okazji jakiejś proznej kolacji.

– Mówisz o Harrym?

Jackson wzruszył ramionami.

– Nie wiedziałem, jak ma na imię. Sztywniak idealnie do niego pasował.

Savannah pacnęła go w rękę, powstrzymując śmiech.

– Wcale nie był sztywny.

– To również specjalnie mnie nie dziwi...

Może powinna się oburzyć albo obrazić za tę bezczelność, ale widząc jego rozbawioną minę, nie miała innego wyjścia, jak także się roześmiać.

– Był całkiem fajny.

– Skoro tak, to dlaczego się rozstaliście?

To było uzasadnione pytanie, tyle że Savannah nie miała pewności, jak na nie odpowiedzieć. W końcu wzięła go za rękę i przyłożyła ją sobie do piersi.

– Bo przy nim nigdy nie czułam tego.

Pod szeroką, mocną dłońią Jacksona jej serce trzepotało jak spłoszony ptak. W kącikach jego ust pojawił się triumfalny uśmiech.

– To dobrze. Nie powinien cię był w ogóle dotykać.

– Nie jestem zakonnica, Jackson.

– To akurat dla mnie dobra wiadomość – rzucił i oparł się czołem o jej czoło, wdychając zapach jej perfum.

Savannah rozkoszowała się przyjemnym dreszczykiem, jakiego doznała, gdy musnął opuszkami palców jej szyję, a potem zaplątał je w jej długich włosach.

– Słuchaj, nic z tego nie rozumiem. Umawiasz się ze mną po raz pierwszy w życiu, choć znamy się od wieków... To dlatego, że rok temu miałam chłopaka?

Jackson pociągnął ją żartobliwie za włosy.

– Bardzo mi się to nie podobało. Możesz mnie zaskarżyć.

Savannah uniosła brew, co on skwitował wybuchem śmiechu.

– Z miliona i jeszcze więcej powodów, które nie miały nic wspólnego ze Sztywniakiem, a wyłącznie z moją własną głupotą, postanowiłem zebrać się na odwagę i w końcu się z tobą umówić.

– Ty się wcale ze mną nie umówiłeś, tylko zjawiłeś się pod moimi drzwiami.

– Ostatnie słowo musi należeć do ciebie, prawda?

Savannah opuściła głowę i wbiła wzrok w podłogę.

– Wiem, że to doprowadza ludzi do szału. Przepraszam – powiedziała, a w myślach dodała: „Nie jesteś na sali sądowej”.

Jackson dotknął jej podbródka, unosząc go i zmuszając ją, by spojrzała mu w oczy.

– Nie musisz mnie przeproszać. Fakt, rozmowa z tobą doprowadza mnie do szaleństwa, ale w całkiem innym sensie, niż myślisz. – Objął mocniej ramionami jej talię, przyciągając ją zdecydowanym ruchem do siebie. – Wyglądasz tak seksownie, kiedy się kłócisz, Vannah... Szczególnie ze mną.

Na dźwięk jego słów serce mocniej jej zabiło. Bez wahania, kompletnie nie myśląc o konsekwencjach, wspięła się na palce i przywarła wargami do jego ust. Jackson oddał pocałunek z namiętnością, o jakiej dotąd mogła tylko pomarzyć. Smakował miętą i czymś ostrym. Savannah szybko doszła do wniosku, że nie potrafi się nim nasycić. Był spełnieniem jej wszystkich fantazji, również tych, o których nie miała jeszcze pojęcia. Objęła go mocniej i poszukała jego języka.

Zanim zdążyła się zorientować, co się dzieje, już przyciskał ją plecami do ściany, ocierając się o nią całym ciałem i nie przestając obsypywać pocałunkami. Miała wrażenie, że zaraz umrze z rozkoszy, albo wręcz przeciwnie, obudzi się i przekona, że to tylko sen, którego nigdy nie będzie w stanie zapomnieć. Kiedy poczuła, że przygryza jej dolną wargę, wydała z siebie głośny pisk.

Podobnie jak Jennie.

– Jezu! – krzyknęła Savannah i gwałtownie odepchnęła Jacksona, aż ten wpadł na kanapę i wylądował z hukiem na podłodze. – Dziecko!

Jackson poniósł się na nogi i otrzepując spodnie, głośno się roześmiał.

– Dziecku nic nie jest, Vannah.

– Ale obściskiwaliśmy się na jej oczach! Jest za mała, żeby na to patrzeć. To tak, jakbym posadziła ją przed telewizorem i pozwoliła oglądać miękkie porno! – Savannah wzięła małą na ręce i mocno do siebie przytuliła. – Marcy mi zaufała...

– I słusznie. Nakarmimy Jennie i położmy ją spać, bo mam zamiar znowu cię pocałować.

Bez skrupowania wsunął jej palce pod dekolot koszulki i powędrował między piersi do naszyjnika, żeby lepiej mu się przyjrzeć.

– Jest piękny – powiedział z podziwem.

– To prezent – wymamrotała, biorąc się do przygotowywania kaszki dla Jennie.

– Od narzeczonego?

Savannah prychnęła, rozśmieszając tym Jennie.

– Nie. Gdybym teraz kogoś miała, na pewno nie pozwoliłabym, żebyś mnie całował.

– Ależ pozwoliłabyś – powiedział niskim głosem, obrzucając ją pożądlwym spojrzeniem.

Savannah miała wrażenie, że po jej ciele rozlewa się fala niepokojącego ciepła.

– Może tak, ale potem by ci się dostało.

Jackson uśmiechnął się i wsunął łyżeczkę z kaszką wprost w otwartą buzię Jennie.

– Brawo, zuch dziewczynka!

Savannah odwróciła się, nie wiedząc, czy ma na myśli ją, czy dziecko.

– Kiedy dorosniesz i będziesz potrzebowała rady w sprawie chłopaka, dzwoń

do cioci Vannah.

Zanim się obejrzała, Jackson uporał się z karmieniem Jennie i już prawie kończył sprzątać kuchnię.

– Śpieszy ci się gdzieś? – spytała niewinnie Savannah, siedząc na kuchennym blacie i przyglądając się, jak sprawnie sobie radzi.

– Uhm. Choć... ona jest śpiąca. Zobacz, jak trze oczka.

Savannah uśmiechnęła się, zaskoczona spostrzegawczością Jacksona.

– Skąd wiesz aż tyle na temat dzieci?

– Często widuję się z Andym – rzucił, wychodząc z Jennie do łazienki.

Wyraźnie uchylał się od odpowiedzi, ale Savannah nie miała zamiaru dać za wygraną. Poszła za nim, a potem uważnie przyglądała się, jak nalewa wody do kąpieli dla Jennie i kilka razy starannie sprawdza temperaturę.

– I co, Andy zawsze jest z Jennie, kiedy się widujecie?

– Ale z niej pijawka – szepnął do ucha dziecka na tyle głośno, żeby Savannah mogła usłyszeć. – Jasne, kiedy gramy w pokera, siedzi mu na kolanach.

Savannah ugryzła się w język i delikatnie wmasowała szampon we włoski siostrzenicy. Była świadoma bliskości Jacksona i tego, jak zachłannie na nią patrzy.

– Możesz wyjąć żółtą kaczuszkę z torby z pieluchami? To jej ulubiona zabawka w kąpieli. – Widząc, że Savannah nie rusza się z miejsca, tylko wpatruje się w niego zdumionym wzrokiem, Jackson przewrócił oczami. – Twój szwagier dużo pracuje, ale lubi raz w tygodniu zabierać gdzieś Marcy, więc robię za niańkę.

Jego wyjaśnienie nie było w stanie wyrwać ją z osłupienia. Nie spuszczać z niego wzroku, po omacku sięgnęła do torby, wyłowiła plastikową zabawkę i podała dziecku.

– Proszę, maleńka. Masz swoją kaczuszkę.

Ściskając ją mocno pulchnymi paluszkami, Jennie ponownie wydała z siebie pisk, gdy Jackson delikatnie polewał jej główkę wodą. Tym razem zamiast płaczu rozległ się jej radosny śmiech.

Savannah przyglądała się bez słowa, jak fachowo namydla Jennie, a potem spłukuje mydło. Zręcznie wyjął dziecko z wody i wprawnie owinał ręcznikiem. Widząc, jak zagaduje do Jennie i jak ona entuzjastycznie na to reaguje, Savannah nie mogła wyjść z podziwu. Ten wielki i silny mężczyzna bez skrupowania przemawiał czule do dziecka. Nie było w nim ani krzty pozerstwa czy udawania, po prostu zachowywał się instynktownie. Ten widok zapał jej dech w piersiach.

– Naprawdę z nią zostajesz?

Wręczył jej siostrzenicę i uśmiechnął się, widząc, jak Savannah przyciska nos do włosków Jennie i wdycha jej słodki zapach.

– Tak, mamy randkę w każdy czwartek, prawda, Jen?

– Ale dlaczego? – zapytała Savannah, idąc za nim do kuchni, by przygotować butelkę dla ziewającego malucha.

– Bardzo lubię Marcy, jest świetną mamą, a Andy to mój przyjaciel, więc chciałem im trochę pomóc. – Włożył dłonie w kieszenie i wzruszył ramionami. – Może robię to dlatego, żeby choć w taki sposób być bliżej ciebie?

– Zdumiewasz mnie...

Poruszył znacząco brwiami, szeroko się uśmiechając.

– Mało jeszcze widziałaś,annah.

Zaśmiała się, słysząc tę bezczelną uwagę, a potem poszła z Jennie na kanapę, żeby ją uspić. Ku jej zdumieniu Jackson usadowił się wygodnie tuż obok, obejmując ją ramieniem.

– Świetnie sobie radzisz – wyszeptał, widząc, jak mała powoli zaczyna przymykać oczy.

Dziesięć minut później, gdy dziecko zasnęło, Savannah odłożyła je do łóżeczka drżącymi z przejęcia rękami.

Pocałunek był fantastyczny, ale czy mogła go brać na poważnie? A może ze strony Jasona to tylko przelotny flirt? I co to w ogóle oznacza?

Czując, że kręci się jej w głowie od pytań, wróciła na kanapę i zaczęła nerwowo skubać łańcuszek, przesuwając tam i z powrotem zawieszkę z kamieniem.

– Spokojnie, bo zaraz zerwiesz ten swój naszyjnik, a widać, że dużo dla ciebie znaczy.

Jackson poklepał dłonią kanapę tuż obok siebie z szatańskim uśmieszkiem, który zwiastował dalszy ciąg pocałunków, kiedy tylko znajdzie się w jego zasięgu. Chcąc tego chwilowo uniknąć, Savannah przysiadła na oparciu, w bezpieczniejszej odległości od niego.

– Bo tak jest. Noszę go prawie od roku.

– Nie powiedziałaś mi, kto ci go dał.

Przesunął się w jej kierunku, niemal dotykając palcami jej uda.

– Bo sama nie wiem. Znalazłam go któregoś dnia pod drzwiami.

Próbowała się odsunąć, ale Jackson był szybszy – położył dłoń na jej kolanie i zaczął je lekko masować kciukiem.

– Prezenty od nieznajomych? To jakaś nowojorska moda?

– No dobra, powiem ci, jak było. Któregoś dnia, mniej więcej rok temu, wróciłam z pracy i znalazłam go na progu, bez żadnej kartki czy wskazówki. Początkowo myślałam, że zaszło jakieś nieporozumienie, ale kiedy zadzwoniłam do sklepu, w którym został kupiony, sprzedawczyni zapewniła mnie, że nie ma mowy o pomyłce. Roześmiała się nawet i powiedziała, że osoba, która go kupiła, uprzedziła, że do nich zadzwonię.

– Piękny kolor – stwierdził Jackson, wyciągając rękę i ujmując kamień palcami.

– Wiem – szepnęła Savannah, czując, jak na jej policzki wpełza rumieniec wstydu. – To jeden z głównych powodów, dla którego go noszę.

– Ten kolor?

Jackson przechylił lekko głowę, przyglądając się jej minie, jakby próbował odgadnąć, co w tej chwili dzieje się w jej głowie.

– Może to zabrzmiało... głupio, ale jest identyczny jak twoje oczy. – Pochyliła się i prześlizgnęła palcami po jego policzku, obrysowując wygięte w łuk brwi, a potem pocałowała go w przymkniętą powiekę. – Mówiłam, że to wariactwo, ale przypominał mi o tobie, więc go zatrzymałam.

– Nie ma w tym nic głupiego. – Splótł palce z jej palcami i szeroko się uśmiechnął. – Właśnie dlatego go dla ciebie kupiłem. Kiedy zobaczyłem w sklepie ten turkus, od razu przyszłaś mi na myśl.

– Zobaczyłeś go w sklepie? – Savannah omal nie spadła z oparcia kanapy. – Dlaczego mi nie powiedziałeś?

– Że jest ode mnie? Nie mam pojęcia... Byłem wtedy przejazdem w Nowym Jorku, ale nie miałem odwagi do ciebie zadzwonić. Ale kiedy zobaczyłem ten naszyjnik, musiałem go kupić. Potem widziałem, że masz go na sobie na każdym zdjęciu, jakie zrobiła twoja mama, gdy była u ciebie tamtego lata, i bardzo mnie to ucieszyło. – Jego palce mocniej zanurzyły się w jej włosach. – Oczywiście zdjęcia to nic w porównaniu z tym, co widzę teraz. Nie masz pojęcia, ile to dla mnie znaczy, Vannah.

Savannah zsunęła się z oparcia kanapy prosto na jego kolana i bez namysłu go pocałowała, wsuwając język do jego zachłannych ust. W tym pocałunku nie było ani krzty ostrożności czy wahania, wręcz przeciwnie – był namiętny i pełen ognia. Kiedy oderwała się od jego ust, jej twarz rozjaśniła się w uśmiechu. Jackson z trudem łapał powietrze.

– Dziękuję.

– Skarbie, jeśli zawsze będziesz mi w ten sposób dziękować, przysięgam, że będę ci codziennie kupował naszyjnik...

Nagle szczęście wydało jej się na wyciągnięcie ręki – życie z mężczyzną, o którym marzyła, śmiech, radość i... dzieci, takie jak Jennie, zaraz jednak wróciła do rzeczywistości – tego nie było w jej planach. Miała spędzić miły weekend w rodzinnym domu, a potem wrócić do Nowego Jorku, do życia, które sama zbudowała i które ją cieszyło. Wykluczone, nie zrezygnuje z niego pod wpływem przelotnego kaprysu. Potrząsnęła głową ze smutkiem i westchnęła, czując, jak jej oczy wypełniają się łzami.

– Ale ja mam pracę w Nowym Jorku.

Przyciągnął ją bliżej do siebie.

– Mogłabyś wrócić i tutaj praktykować. Jackson nie jest tak szpanerskie jak Nowy Jork, ale ma zalety – powiedział i stał palcem łzę, która popłynęła po jej policzku.

Dom... Jackson.

– Nie wiem... Moje życie jest teraz gdzie indziej.

– Mogłoby być inaczej, gdybyś zaryzykowała i dała mi... nam... szansę.

Savannah chciała wstać, żeby spokojnie pomyśleć, ale ją przytrzymał, nie pozwalając ruszyć się z miejsca. Potem sięgnął ustami do jej szyi i delikatnie ją całując, przesuwał się stopniowo w górę.

– Nie ułatwiasz mi tego, wiesz?

– Nie mam zamiaru. I tak już za długo czekałem, żeby ci powiedzieć, co do ciebie czuje, Savannah. Pragnę cię od lat.

– Naprawdę? – wydyszała Savannah, wciąż nie wierząc własnym uszom.

– Pragnę cię... A niech tam, powiem wprost! Kocham cię, Savannah. Zawsze tak było i będzie. Zanim zebrałem się na odwagę, żeby się z tobą umówić, wyjeżdżałaś już na studia, a potem do Nowego Jorku. Nie było sprzyjającego momentu... Ale za każdym razem, gdy próbuję się z kimś spotykać, myślę tylko o tobie i o tym, że kobieta siedząca naprzeciwko mnie to nie ty. Albo nie śpię po nocach, zastanawiając się, gdzie jesteś i z kim, a to mnie doprowadza do szału. Uwielbiam twoją niezależność, inteligencję i to, że nie dajesz sobie w kaszę dmuchać. Chcę z tobą spędzić życie, Savannah. Jeśli oczywiście mnie zechcesz.

Savannah nie odezwała się ani słowem, gdy Jackson odstaniał przed nią swoje serce i powierzał jej swoje najskrytsze tajemnice. Czowała się wstrząśnięta, nie mogąc uwierzyć, że od tak dawna czuł to samo co ona, ale o niczym jej nie powiedział. Nikomu nie przysłoby do głowy, że ten facet mógłby się czegokolwiek obawiać, wręcz przeciwnie – był uosobieniem pewności siebie. A mimo to przyznał, że się jej bał. To wyznanie głęboko ją poruszyło.

Jej palce bezwiednie powędrowały do przepięknie szlifowanego turkusa w nadziei, że dotyk talizmanu ją uspokoi. Teraz, gdy już wiedziała, kto i dlaczego jej go dał, nabrał dla niej zupełnie nowego znaczenia. Dowiedziała się, że Jacksonowi na niej zależy i chce z nią być. I to od bardzo dawna.

Czy ona będzie w stanie zaryzykować i zrobić to, czego naprawdę chce? Czy stać ją na to, by odstąpić od starannie przemyślanego planu? A może po raz kolejny pozwoli, by rozum zwyciężył nad uczuciem?

Wydawało się jej, że minęły długie godziny, gdy tak wpatrywała się w jego oczy w poszukiwaniu odpowiedzi na nurtujące ją pytania. Życie w Nowym Jorku było naprawdę fantastyczne, ale jeśli miała być ze sobą szczerą, czegoś jej brakowało. Czasami zdarzało się jej przewracać na łóżku prawie do samego rana. I wtedy do niej dotarło, że ten brakujący element to miłość. Spoczywając w ramionach mężczyzny, z którym się czubiła przez większość życia, czuła spokój, jakiego nigdy dotąd nie zaznała. Nic nie mogło się z nim równać, żadne sukcesy i osiągnięcia.

„Chrzanić rozum” – powiedziała sobie w duchu, wyciągając ręce i obejmując dłońmi jego twarz. Poczwała pod palcami lekki zarost, rozkoszując się jego zmysłową szorstkością.

– Chcę z tobą być, Jacksonie. Marzyłam o tym po nocach. Żaden mężczyzna nie był ci w stanie dorównać. Liczysz się tylko ty, zawsze tak było.

Jego oczy na chwilę rozbliły, a chwilę potem pociemniały z pożądania.

– Jesteś pewna?

– Jak niczego w życiu. Wiem, że jest jeszcze wiele spraw do ustalenia, ale jesteś wszystkim, czego pragnę. Kocham cię.

Słowa te wypowiedziała ledwo słyszalnym szeptem, czując na swoim ciele jego niecierpliwie dłonie.

– Ja też cię kocham, Vannah.

Wpił się wargami w jej usta, aż zalała ją fala pożądania, której z rozkoszą się poddała. Całkowicie nią zawładnął i porwał za sobą jej niepokorne ciało. Ku swojemu zdziwieniu pozwoliła, aby nadał rytm pocałunkowi i pokierował swoim językiem.

Kiedy niemal zabrakło im tchu, oderwał się od niej i wyszeptał:

– Na zawsze.

– Na zawsze... i od zawsze – odpowiedziała.

Połączeni

Alison Oburia

Kate Bennett oparła się o chłodną metalową poręcz, obserwując, jak spienione wody rzeki Ohio leniwie rozbijają się o brzeg. Minęło pięć lat, odkąd była tu po raz ostatni. Teoretycznie przybywała teraz w dwóch miejscach jednocześnie, bo most stanowił granicę między Wirginią Zachodnią a Ohio, a po jego obu stronach rozciągały się dwa urokliwe miasteczka: Williamstown i Marietta.

Spojrzała na trzymaną w rękę wymiętą pocztówkę i po raz kolejny zaczęła ją czytać.

„Zrób, co uznasz za słuszne, Kate. Daję ci pięć lat, żebyś mogła wszystko sobie poukładać. Jeśli po tym czasie będziesz chciała, żebyśmy znów spróbowali, spotkaj się ze mną na moście w walentynki, a wtedy zobaczymy, jak sprawy stoją. Mam nadzieję, że znajdziesz to, czego szukasz, pamiętaj jednak, że ja będę na ciebie czekać. Kocham cię. Dylan”.

Po policzku Kate popłynęła łza, którą pośpiesznie otarła wierzchem dłoni. Wówczas nie była gotowa na to, czego pragnął Dylan – małżeństwo, rodzina, dom w Marietcie, tam gdzie jego rodzice. Dyplom z marketingu był dla niej przepustką do wielkiego świata. Chciała wyjechać, podróżować i czegoś dokonać, zanim – jak mu oznajmiła – „zwiąże się na resztę życia”.

Kochał ją na tyle mocno, że pozwolił jej odejść.

W ciągu tych pięciu lat ani razu się ze sobą nie kontaktowali. Stojąc teraz na moście, zdawała sobie sprawę, że to niezbyt mądre z jej strony: pewnie w ogóle nie pamiętał, że coś takiego napisał. Może wcale się nie pojawi albo przyjdzie od strony Marietty z żoną i trójką dzieci? To nie miało żadnego znaczenia. Obiecała, że pojawi się w walentynki i dotrzymała słowa, więc teraz tkwiła tu sama jak palec, czekając nie wiadomo na co.

Paul Workman bardzo się starał, by nie dać się zawładnąć emocjom. Minął już prawie rok, a on nadal nie potrafił tu przyjść i się nie rozkleić. Oparł czoło o wyższą z dwóch płyt grobowych – tę należącą do Ginny – a potem starł palcem żdźbła trawy z mniejszego nagrobka, w którym pochowano Carlie.

Były całym jego światem. Razem z Ginny dorastali w Williamstown. Pobrali się zaraz po ukończeniu liceum i poszli razem na studia. Siedem lat po ślubie urodziła się Carlie, śliczny, różowy i zdrowy bobas. Do tego czasu udało im się zaoszczędzić tyle, że Ginny mogła zrezygnować z pracy w szkole i zostać w domu z ich małą córeczką. Paul, dyrektor liceum, był w stanie z łatwością utrzymać ich trójkę i zapewnić im wygodne życie.

Kiedy odebrał telefon od siostry Ginny, żeby natychmiast przyjechał do szpitala, wypadł jak strzała ze szkoły i popędził tak szybko, jak jeszcze nigdy mu się nie zdarzyło. Kiedy dotarł na oddział ratunkowy, malutka, zaledwie trzyletnia Carlie, już nie żyła, zaś Ginny była na intensywnej terapii. Od policjantów dowiedział się szczegółów na temat wypadku, ale w głowie utkwiły mu tylko strzępy informacji: ciężarówka, niesprawne hamulce, zbyt późno zauważone czerwone światło.

Dwa tygodnie po wypadku Paul w otoczeniu rodziny wyraził zgodę, by lekarze odłączyli Ginny od aparatury podtrzymującej życie i pozwolili jej dołączyć do córki.

Kochał ją na tyle mocno, że pozwolił jej odejść.

W ciągu minionego roku wiele razy rozważał samobójstwo, ale w głębi duszy wiedział, że rodzina Ginny i jego własna dosyć już wycierpiały. Nie mógłby im czegoś takiego zrobić, ale to nie oznaczało, że sobie z tym wszystkim radził.

– Czas odpuścić, Paul – powiedział mu niedawno jeden z nauczycieli. – Wszyscy tęsknimy za Ginny, ale człowieku, życie toczy się dalej. Musisz pozwolić jej odejść. Może spróbuj sobie kogoś poszukać.

Gdyby ktoś mu to powiedział pół roku temu, Paul wygarnąłby mu bez ogródek, co sądzi o takich radach. Teraz jednak powoli zaczął zmieniać swoje życie. Doszedł do wniosku, że codzienne powroty do pustego domu tylko pogłębiają jego depresję, dlatego poprosił brata, by pomógł mu go sprzedać razem z placem zabaw Carlie i innymi sprzętami, a sam przeprowadził się do małego mieszkanca po drugiej stronie rzeki, w Marietcie. Nadal mógł chodzić spacerem do pracy, ale uwolnił się od wspomnień związanych z przytulnym dwupiętrowym domem, który kupili z Ginny kilka lat po ślubie. Nie miał już ochoty spotykać się z dawnymi sąsiadami, których twarze natychmiast tężały, gdy go tylko widzieli.

Przeprowadzka na drugą stronę rzeki oznaczała dla Paula początek nowego życia. Ale czy był już gotowy, by ponownie się z kimś związać? Zmagał się ze sobą, chcąc na zawsze zachować Ginny w sercu, a jednocześnie zrobić w nim miejsce dla kogoś, kogo mógłby pokochać, zawsze jednak dochodził do tego samego wniosku – że jest za wcześnie. Może jutro albo za miesiąc. A może w przyszłym roku.

Chłodne powietrze owionęło Kate, więc otuliła się ciaśniej wełnianym płaszczem. Było już prawie wpół do trzeciej – miała się spotkać z Dylanem między drugą a trzecią. Minęło ją kilka osób, skulonych i drżących z zimna za sprawą ostrego wiatru, który hulał na moście. Miejsce to świetnie się nadawało na spacer – szerokim chodnikiem można było swobodnie chodzić we dwójkę. Wyobraziła sobie, jak w cieplejsze dni most przemierzają matki z wózkami i przyszło jej do głowy, że mogłaby być jedną z nich, gdyby zdecydowała się wyjść za Dylana. Jego najwięk-

szą radością był niewielki sklep rowerowy, który kupił. Cieszył się tym, co miał, i nie chciał opuszczać rodzinnych stron. Ona z kolei czuła zniechęcenie, gdy wyobrażała sobie życie w małym miasteczku. Chciała rozwinąć skrzydła.

Ściskając poręcz mostu, wydała z siebie westchnienie.

– Nie ma czego żałować – wyszeptwała. – Zrobiłaś to, co było trzeba, koleżanko.

Ale Dylan ani na chwilę nie zniknął z jej serca ani myśli. Bardzo za nim tęskniła podczas pierwszych samotnych miesięcy w Chicago i w pierwszym roku omal się nie złamała, wiele razy do niego telefonując. Potem jednak życie w pojeździe stało się łatwiejsze, pochłonęła ją praca i rozrywki w towarzystwie nowych znajomych.

Wracając myślami do tamtych czasów, wyraźnie widziała, jak powierzchowne było jej życie. Mimo iż bardzo chciała doświadczyć dynamicznego tempa i blichtru świata marketingu, wciąż tkwiła w niej dziewczynka z małego miasta, która tęskni za domem. Tydzień spędzony w Marietcie powinien dobrze jej zrobić.

Mieszkanie, do którego Paul wprowadził się przed miesiącem, zostało uprzątnięte w pośpiechu i niezbyt dokładnie. Szybka przeprowadzka była mu na rękę, ale jednocześnie był zmuszony przejąć je w takim stanie, w jakim je zastał. Niewiele wiedział na jego temat, tylko tyle, co przekazał mu sąsiad: samotny mężczyzna zmarł nagle na serce tuż po świętach. Nietrudno mu było sobie wyobrazić, przez co musiała przechodzić jego rodzina...

Sprzątając bałagan, odłożył do osobnego pudełka kilka dokumentów, które uznał za ważne. W szufladzie znalazł zdjęcia jakiejś pary, najprawdopodobniej z czasów liceum. Przypomniała mu, jacy kiedyś byli z Ginny – młodzi i zakochani. Na jednej z fotografii chłopak całował dziewczynę w policzek, a ona się uśmiechała. Podpis, który zauważył z tyłu, uświadomił mu, że się pomylił co do ich wieku: „Dylan i Kate, czerwiec 2004 roku, Marietta College, rozdanie dyplomów”.

Dylan. Tak nazywał się zmarły lokator. Paul się domyślił, że miał mniej więcej dwadzieścia osiem lat. Znów przyjrzał się dziewczynie ze zdjęcia, której twarz okalały lekko kręcone kasztanowe włosy. Miała piękne zielone oczy, tak samo jak Ginny, i najbardziej urocze dołeczki, jakie kiedykolwiek w życiu widział. Nic dziwnego, że Dylan zachował to zdjęcie. Sądząc po nim – jak i po tym, na którym stali mocno do siebie przytuleni – musiał być w niej bardzo zakochany.

W trakcie porządków odkrył jeszcze plik listów i wycinków z gazet w niezaklejonej szarej kopercie. Biorąc pod uwagę miejsce, w jakim ją znalazł – wepchniętą głęboko na półkę w garderobie – domyślił się, że schowano ją tam celowo jakiś czas temu. Kiedy zaczął czytać jej zawartość, osunął się po ścianie na podłogę.

To były nigdy niewysłane listy miłosne. W pierwszym, datowanym na listo-

pad 2004 roku, Dylan wyznawał miłość Kate, prosząc ją, żeby za niego wyszła, i przyrzekając, że zrobi wszystko, żeby ją uszczęśliwić i pomóc jej zrealizować marzenia. Obiecywał, że będzie na nią czekał tak długo, jak będzie trzeba. Wszystkie pozostałe pięć listów zostało napisanych w walentynki. Wspominał w nich o tym, jak mu idą interesy, i przekazywał nowiny na temat rodziny i znajomych z miasta. Pisał, że jest bardzo dumny z jej osiągnięć, a do każdego listu przypiął wycięte z gazet artykuły i ogłoszenia. Wymienił nazwę firmy marketingowej, w której pracowała Kate – Findlay-Patterson. Przez wszystkie lata uważnie śledził, jak rozwijała się jej kariera, a pod koniec zawsze dodawał zdanie, że za nią tęskni i chce, żeby do niego wróciła.

Kochał ją do nieprzytomności, ale ona odeszła.

Mężczyzna mieszkał sam, o czym świadczyły pozostawione w mieszkaniu dokumenty adresowane wyłącznie do Dylana McCoya. A więc Kate nigdy do niego nie wróciła... Paulowi było żal Dylana i robiło mu się smutno na myśl o tym, że pewnie nawet nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo go zraniła swoim odejściem. Ciekawe, czy w ogóle wiedziała o jego śmierci.

Okazało się jednak, że historia Dylana i Kate nie skończyła się na niewysłanych listach. Przekonał się o tym dzień później, gdy sprzątał za lodówką. Przesuwając ją z powrotem na miejsce, zauważył, że wypadła spod niej mała karteczka z notatką: „14 luty 2010 roku – spotkanie z Kate na moście, 15.00!!!”.

Napis był nieco wyblakły, a kartka zakurzona, ale na pewno nie pochodziła sprzed pięciu lat, gdy razem pozowali do zdjęcia. Sądząc po liczbie wykrzykników, Dylan musiał ją napisać w ciągu ostatniego roku, zupełnie jakby odliczał dni do spotkania ze swoją ukochaną Kate w dzień zakochanych.

Kate nie utrzymywała kontaktów z wieloma znajomymi po tym, jak wyjechała z Marietty. Jej rodzice mieszkali teraz na osiedlu dla seniorów w Cincinnati, a brat wraz z rodziną w Atlancie. Zarezerwowała dla siebie pokój na tydzień w małym pensjonacie, postanawiając, że na razie nie będzie nikogo zawiadamiać o swojej wizycie. Jeśli Dylan nie przyjdzie na spotkanie, nie ma sensu, by ktokolwiek wiedział, że przyjechała się z nim zobaczyć.

Przez moment przemknęło jej przez głowę, że może pojawi się z kimś – dziewczyną albo żoną. Jak powinna się wtedy zachować? Oczywiście będzie się grzecznie uśmiechać. W podróży z Chicago zdążyła już wymyślić bajeczkę, że jest związana z wiceprezesem jednej ze znanych firm inwestycyjnych – facetem, który jest skrzyżowaniem Patricka Dempseya z Hugh Jackmanem – i wkrótce planują zaręczyny. Wykręci się, że nie ma przy sobie ich wspólnego zdjęcia, ale będzie do znużenia nawijała, jacy są szczęśliwi. Dzięki temu ukryje przed całym światem, że ma złamane serce.

Była już za piętnaście trzecia, a Dylan nadal nie przychodził. Kate postanowiła poczekać jeszcze pół godziny, na wypadek gdyby nie mógł się wyrwać ze sklepu albo od rodziców lub coś go zatrzymało.

Kiedy uderzył w nią kolejny podmuch wiatru, skrzyżowała ręce na piersiach, drżąc z zimna. Minuty płynęły jedna po drugiej, a ona mimowolnie raz po raz zerkała w stronę Marietty.

Paul podniósł głowę znad niedzielnej gazety i zerknął na kalendarz, który dostał od siostry. Walentynki. Przykleił znaną przed tygodniem notatkę Dylana na lodówce, ale wciąż jeszcze nie zdecydował, co z nią zrobić. Zastanawiał się, czy Kate pamięta o spotkaniu i będzie na moście, czy też Dylana czekałoby rozczarowanie.

Może nie przyjdzie, bo nie ma ochoty, a może zapomniała... A jeśli się pojawi? To będzie oznaczało, że nikt jej nie zawiadomił o śmierci Dylana. Nigdy się nie dowie, że planował się z nią spotkać.

„To nie moja sprawa” – upominał się Paul za każdym razem, gdy zerkał na karteczkę i zaczynał snuć przypuszczenia. W końcu jego oczy bezwiednie powędrowały do zegara. Zbliżała się trzecia.

– Niech to szlag! – warknął, a potem złapał notatkę i wybiegł z domu, kierując się w stronę mostu.

– No dobra, koleżanko, jest trzecia – powiedziała do siebie Kate, a potem westchnęła, wyobrażając sobie Dylana z blondynką na placu zabaw, jak bujają na huśtawkach swoje śliczne maluchy, spędzając walentynki w rodzinnym gronie.

Planując miesiąc wcześniej swój przyjazd, zdawała sobie sprawę, że Dylan może się nie pojawić. To było ryzyko, jakie podjęła, wyjeżdżając stąd pięć lat temu. Poczula, że oczy wypełniają się jej łzami, więc zacisnęła zęby i przypomniała sobie swoje ulubione powiedzenie z czasów, gdy zamieszkała w Chicago: „Nie ma czego żałować”.

A jednak.

Tak to już bywa: człowiek jest mądry po szkodzie. Nie zawsze droga, którą się wybrało, okazuje się tą właściwą. Kate nie miała jednak zamiaru użalać się nad sobą. Zaczeka jeszcze kwadrans, jak sobie obiecała, a potem wróci do pensjonatu. Może pozwolą jej skrócić rezerwację na korzystnych warunkach? Przecież były walentynki – na pewno uda im się znaleźć chętnych na pokój w romantycznym hoteliku.

Po raz kolejny zerknęła w prawo, w stronę Marietty, tak na wszelki wypadek. W kierunku mostu zmierzał jakiś mężczyzna w jasnej kurtce, ale to nie był

Dylan. Znow odwróciła wzrok w stronę rzeki, opuszczając ramiona z rozczarowaniem.

Widząc, że facet się zatrzymał niewiele ponad metr od niej, obrzuciła go przelotnym spojrzeniem. Oparł przedramiona na poręczy, zwieszając splecione dłonie. Wydawał się głęboko pogrążony w myślach.

Minęło kilka minut, podczas których żadne z nich nie odezwało się ani słowem, wpatrując w wodę, na której powierzchni migotało słońce. Kate przymknęła oczy i podniosła głowę, żeby ogrzać twarz w jego ciepłych promieniach.

– Piękny dzień, prawda?

Słowa mężczyzny ją zaskoczyły. Otworzyła oczy i odwróciła się do niego, zdziwiona tą niespodziewaną uwagą.

– Tak, rzeczywiście.

– Rzadko tu przychodzę, a szkoda. Taki spacer to wielka przyjemność – dodał.

Nie odpowiedziała, nie mając pojęcia, dlaczego ją zagaduje.

Chwilę potem odezwał się ponownie:

– Miałaś się tu dziś z kimś spotkać, prawda?

Drugi raz o coś ją spytał i znowu zabrzmiało to bardziej jak stwierdzenie faktu. Zupełnie jakby się spodziewał, że ją tu zastanie.

– Ekhm... A skąd to pytanie?

– Bo wygląda na to, że stoisz tu już od jakiegoś czasu. Jakbyś na kogoś czekała.

Kate wbiła zawstydzony wzrok w swoje dłonie.

– Rzeczywiście, obiecałam komuś dawno temu, że się tu dzisiaj z nim spotkam. – Wzruszyła obojętnie ramionami. – Ale pewnie zapomniał...

Odsunęła się od poręczy, wyprostowała ręce, a potem wsunęła dłonie do kieszeni płaszcza.

– Masz rację, trochę zmarzłam. Lepiej już pójdę – rzuciła, a potem wyminęła go i ruszyła w stronę Marietty.

Widząc, że się oddala, Paul zaklął w myślach: „Cholera, ona o niczym nie wie. Powiedz jej...”.

– Czy ty jesteś Kate?

Zatrzymała się w pół kroku i odwróciła do niego, przechylając głowę na bok ze zdumienia.

– Przepraszam, co takiego?

Paul wciąż jeszcze nie był w stanie spojrzeć w jej zielone oczy. Podobne miała Ginny.

– Masz na imię Kate?

– Tak – wykrztusiła. – Skąd wiesz?

Wyjął z kieszeni poźółkłą karteczkę i podał jej bez słowa.

Przyjęła ją z ociąganiem. Wystarczył mu rzut oka, by się przekonać, że rozpoznaje charakter pisma.

– Skąd to masz? Gdzie jest Dylan?

Paul nie był w stanie się zorientować, co tak naprawdę kryje się w przeszywającym go spojrzeniu zielonych oczu – złość, zdziwienie, nieufność czy może wszystko po trochu? Wziął głęboki oddech, starając się ułożyć sobie w myślach, co chce jej powiedzieć.

– Znalazłem tę notatkę pod lodówką w mieszkaniu, do którego niedawno się wprowadziłem.

– I?

– Wcześniej mieszkał w nim Dylan McCoy. To on ją napisał, prawda? Na niego czekasz?

Kate wsunęła ręce do kieszeni i oparła się bokiem o poręcz, odwracając się do Paula. Kiedy ich spojrzenia się spotkały, dostrzegł w jej oczach ciekawość.

– Znasz Dylana? Wiesz, dokąd się przeprowadził?

„Boże – pomyślał Paul – to nie będzie łatwe”.

– Nie, nie znałem Dylana. – Na chwilę umilkł, a potem znów odwrócił głowę w jej stronę. – Masz tu jakąś rodzinę?

– Nie. Przyjechałam w odwiedziny... z daleka.

Ponownie wziął głęboki oddech, widząc, że Kate zaczyna się niecierpliwić.

– Słuchaj, nie wiem, jak ci to powiedzieć... Prawdę mówiąc, nie powinnaś dowiadywać się takich rzeczy od kogoś obcego.

Kate ściągnęła brwi.

– Czy coś... się stało?

Paul nerwowo potarł dłonią kark, żałując, że nie został w domu. Szybko jednak wziął się w garść i lekko nachylając się w jej stronę, odezwał się miękko:

– Przykro mi to mówić, ale Dylan zmarł tuż po Bożym Narodzeniu. Atak serca czy coś podobnego, dokładnie nie wiem. Boże, to okropne, że nikt cię nie poinformował...

Kate zachowała spokój i opanowanie, ale łza, jaka potoczyła się po jej policzku, była najlepszym dowodem na to, że to dla niej silny cios.

– Ach, tak. – Opuściła oczy, dyskretnie ocierając policzek dłonią w rękawiczce, a potem uniosła głowę. – Miło z twojej strony, że przyszedłeś mi o tym powiedzieć... Nie musiałeś tego robić.

Jej głos był chłodny i opanowany, ale Paul się domyślał, że w ten sposób stara się pohamować emocje. Wiedział o tym z doświadczenia, bo sam zachowywał się identycznie, gdy pojawił się w szpitalu i rozmawiał z lekarzami na temat stanu Ginny i Charlie. Był pewien, że Kate jest zdruzgotana.

Dylan nie żył, a ona już nigdy nie będzie miała szansy mu powiedzieć, że chce wrócić. Zawsze była upartą, nie liczącą się z nikim idiotką i proszę, jak się to skończyło...

– Boże... – wyszeptała i znów wolno opuściła głowę, wbijając wzrok w swoje dłonie i skubiąc nerwowo czubki palców rękawiczek.

„Weź się w garść, koleżanko. Ten facet na ciebie patrzy”.

Nagły podmuch wiatru zwał włosy na jej twarz. Szybko je odgarnęła i przytrzymała dłonią, ponownie spoglądając w oczy stojącemu przed nią mężczyźnie.

– Przepraszam. Ja... nie spodziewałam się czegoś takiego... że on nie żyje. To dla mnie szok. – Uśmiechnęła się słabo, wyciągając do niego rękę. – Dziękuję...

– Paul.

– Dziękuję, Paul. To bardzo odważne, że tu przyszedłeś, żeby...

– Nie, nie. To znaczy... nie sędzę. Szczerze mówiąc, nie myślałem, że tu będziesz. To było wariactwo: oczekiwać tego od ciebie. Ale w końcu co mi szkodziło wybrać się na spacer i...

– Dlaczego tak uważasz? – przerwała mu Kate. – Że Dylan robił sobie niepotrzebną nadzieję.

Była dotknięta, że ktoś obcy pozwalał sobie na takie wnioski. Nie mógł wiedzieć, że każdego dnia musiała zwalczać w sobie chęć powrotu.

– Przepraszam... Pisał o tym w listach. Wyglądało to dość jednoznacznie. Musiał sobie zdawać sprawę, że to mało prawdopodobne, a mimo to wierzył, że jego marzenie się spełni.

– W listach?

Paul westchnął. Poczł skrępowanie i zawahał się, nie bardzo wiedząc, jak ma z nią o tym rozmawiać.

– Kiedy się wprowadziłem, w mieszkaniu zostało kilka jego rzeczy. Wasze zdjęcia z rozdania dyplomów i szara koperta z listami do ciebie, których nigdy nie wysłał. Chyba traktował je jak coś w rodzaju pamiątnika.

– Ale jego rodzina...

– Nie wiem zbyt wiele. Mieszkanie było opróżniane w pośpiechu, być może nie zauważyli, że coś zostało.

– Nie. – Kate odwróciła się i oparła plecami o poręcz, wbijając wzrok w rękę i wystawiając się na szczypiące w policzki podmuchy lodowatego wiatru. – Na pewno zostawili je dlatego, bo ja zostawiłam Dylana. – Jej głos zniżył się do szeptu. – Nie chcieli niczego, co przypominałoby im o mnie.

Widząc, że Kate znów się oparła o poręcz mostu, Paul domyślił się, że nigdzie jej się nie spieszy. Miał do wyboru: albo od razu się pożegnać, życząc jej powodzenia, albo okazać współczucie, tak jak zrobili to przyjaciele po jego tragedii. Wiedział z doświadczenia, że rozmowa to pierwszy krok do odzyskania równowagi psychicznej. Tymczasem wszystko wskazywało na to, że ona nie ma tu nikogo bliskiego. Doszedł więc do wniosku, że warto spróbować.

– Opowiedz mi o nim.

– Co takiego? – Kate zaśmiała się nerwowo. – Słuchaj, to miło z twojej strony, ale...

– Mówię poważnie. Opowiedz mi o nim. W każdym liście pisał, jak cię uwielbia i jaki jest z ciebie dumny. Spójrz na tę karteczkę, którą ci dałem... Chciał tu być, planował, że przyjdzie.

– Był ze mnie dumny?

Paul podszedł bliżej i tak samo jak ona oparł się o poręcz.

– Jasne. Pracowałaś dla firmy Findlay-Patterson, prawda? Wiem, bo wycinał z gazet artykuły, w których pojawiała się twoje nazwisko, a potem pisał do ciebie listy i wspominał twoje sukcesy. Przykro mi, że nigdy ich nie dostałaś.

– Zawarliśmy coś w rodzaju umowy, że pozwoli mi spełniać marzenia i nie będziemy się kontaktowali. To było strasznie głupie... – Urwała, a po jej policzkach popłynęły łzy. – Niesamowicie głupie.

– Te listy i reszta jego rzeczy należą do ciebie. Zostajesz w mieście? Mogę ci je przynieść.

– Tak. Zatrzymałam się w pensjonacie przy Hanley, ale chyba wyjadę dziś wieczorem do Chicago. Nic mnie tu nie trzyma. Nie potrafiłabym nawet przejść obok jego sklepu z rowerami.

– Szprychomaniacy?

Kate uśmiechnęła się.

– Duma i oczko w głowie Dylana. Kupił go zaraz po studiach za pieniądze, które pożyczył mu dziadek. Potrafił w nim spędzać całe dnie i noce. – Parsknęła śmiechem. – Byłam gotowa rzucić pracę w Chicago i przeprowadzić się tu z powrotem choćby jutro, gdyby tylko pojawił się i uśmiechnął do mnie. Nic więcej nie byłoby potrzebne.

– Byłem kiedyś u niego, to dobry sklep. Mieli dużo... – Chciał powiedzieć: „trójkołowców”, ale urwał, czując ścisk w gardle. Wyprowadzając się z domu, przekazał trójkołowy rowerek Carlie i większość jej zabawek do prowadzonego przez zakonnicę przedszkola. – Mieli duży wybór. Kiedy umarł, sklep zamknięto. Rodzina chyba chce go sprzedać.

– Naprawdę? – zdziwiła się Kate, otwierając szerzej oczy.

Paul zauważył, że wyglądała teraz znacznie dojrzalej niż na fotografii z rozdania dyplomów. Była piękna, inteligentna, pewna siebie, wrażliwa, a jej oczy tak

bardzo przypominały mu o Ginny. Kiedy jednak spojrziała w dal, dostrzegł na jej zielonych tęczęwkach żółte plamki. To nie była Ginny i Paul dobrze o tym wiedział. W głowie zaczęły mu pobrzmiwać słowa kolegi z pracy: „Musisz pozwolić jej odejść”.

– Od kiedy mieszkasz w Marietcie? – zapytała nagle Kate.

– Niewiele ponad miesiąc. Przeprowadziłem się z Williams- town. Tam spędziłem dzieciństwo.

– I pewnie tam pracujesz, dobrze myślę?

– Tak, jestem dyrektorem liceum. – Roześmiał się. – Kilka setek nastolatków nie pozwala mi się nudzić.

– Ładnie tutaj – stwierdziła w zamyśleniu Kate. – Nigdy nie dałam szansy temu miejscu. Chciałam się wyrwać do wielkiego miasta...

– Nie powinnaś żałować swojej decyzji. Dylan cię kochał, ale nawet on wiedział, że musiałaś tak postąpić. Wiele razy o tym pisał w swoich listach. Zdawał sobie sprawę, że gdyby zmusił cię, żebyś została, byłibyście razem nieszczęśliwi.

– Zamiast tego byliśmy nieszczęśliwi osobno – wykrztusiła.

– Żałuję, że nigdy go nie poznałem. Nasze miasteczka są tak blisko, pewnie setki razy się mijaliśmy.

– Na pewno byś go polubił, jak każdy. – Kate zamilkła, a na jej wargach zadrgał uśmiech. – Był dobrym i uczciwym człowiekiem. Nigdy się nie wywyższał i nie oczekiwał, że inni będą pracować za niego. Gdybym została, byłibyśmy dziś małżeństwem z gromadką dzieci.

– Dzieci to coś wspaniałego. Nadają życiu sens, uświadamiają, co naprawdę jest ważne.

Kate odwróciła głowę do Paula.

– Masz dzieci, prawda?

Spojrzał w kierunku Williamstown, wracając myślą do na zawsze zamkniętego rozdziału.

– Nie.

„Musisz pozwolić Ginny odejść...”

– Chyba że trzystu uczniów mojej szkoły – dodał z niepewnym uśmiechem.

Kate zaśmiała się uprzejmie, ale chwilę potem ponownie spoważniała.

– Dlaczego przeprowadziłeś się na drugą stronę rzeki? Potrzebowałeś odmiany?

Paul westchnął, skubiąc łuszczącą się farbę na poręczy.

– Tak... Można to tak nazwać.

Oboje zapatrzyli się w wodę. Z trawiastej skarpy od strony Williamstown schodziła w kierunku rzeki jakaś para. Gdy dotarli do brzegu, wrzucili do wody kilka kamyków, jakby wypowiadali życzenia, a potem mężczyzna otoczył ramieniem trzymającą różę kobietę i przyciągnął do siebie. Kilka razy namiętnie się pocałowa-

li i chwilę potem zaczęli wspinać się z powrotem, trzymając się za ręce.

„Pozwól jej odejść, Paul. Już czas”.

Uderzył w nich silny podmuch wiatru, aż Kate zadrżała z zimna.

– Czyżby znów miało się ochłodzić? – zdziwiła się.

– Na to wygląda. – Paul odsunął się od poręczy i zerknął na zegarek. Docho-
dziła czwarta. – Robi się coraz zimniej. Powinniśmy się schować gdzieś pod da-
chem, zanim całkiem zamrozniemy.

– Och... no tak, racja. Przepraszam, że zajęłam ci tyle czasu. To bardzo
uprzejme z twojej strony, że przyszedłeś. Dziękuję. Chyba już...

„Pozwól jej odejść, Paul. Pozwól Ginny odejść”.

– Słuchaj, a może dałabyś się zaprosić na kawę albo coś innego? – spytał
Paul z wahaniem. – Moglibyśmy pójść do baru na King Road. Moje mieszkanie
jest po drodze, wstąpię na górę i zabiorę listy.

Kate obrzuciła Paula długim spojrzeniem. Odwzajemnił je, po raz pierwszy
od roku gotowy otworzyć przed kimś swoje serce.

– Tak, dziękuję. Bardzo chętnie.

Odwrócili się i ramię w ramię ruszyli do Marietty.

Ku nowym możliwościom.

O autorkach

Alice Clayton znana polskim czytelnikom z erotycznych powieści (*Nie da-
jesz mi spać, Z Tobą się nie nudzę*). Skończyła teatrologię na Uniwersytecie Misso-
uri. Mieszka w St. Louis ze swoim partnerem i czworonożnymi domownikami.
Po raz pierwszy publikuje opowiadanie.

Jennifer DeLucy dorastała w Scranton w Pensylwanii. Studiowała emisję
głosu, stawiając jednocześnie pierwsze kroki w literaturze. Obecnie mieszka
na Środkowym Zachodzie, gdzie rozwija karierę pisarską i muzyczną.

Nicki Elson w powieściach tworzy wielowymiarowe, realistyczne postacie
i uważnie obserwuje, jak zachowują się w zwariowanych sytuacjach, w które je pa-
kuje. Mieszka na przedmieściach Chicago z mężem i dwójką dzieci.

Jessica McQuinn szczęśliwa żona z dwudziestoletnim stażem i mama dwójki
maluchów. Pisze, odkąd sięga pamięcią, ale dopiero gdy dzieci poszły do szkoły,
postanowiła podzielić się swoją twórczością z innymi.

Victoria Michaels mieszka z mężem i czwórką dzieci. Wolny czas poświęca
na czytanie, pisanie i podróżowanie po kraju. W jej utworach zawsze są obecne mi-
łość i humor, które stanowią esencję jej codziennego życia.

Alison Oburia zanim została pisarką, pracowała jako nauczycielka. Ma męża
i dwóch synów. I to szczęście, że cała rodzina wspiera ją w pisaniu, tolerując ciągle
okupowanie przez nią wspólnego komputera.

Spis treści:

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

Opowiadania na walentynki

Smak zmysłów

Zdobyta przez wikinga

Nie obchodzę walentynek

Stać cię na więcej

Powrót do domu

Połączeni

O autorkach



Alice
CLAYTON

Jennifer
DeLUCY

Nicki
ELSON

Jessica
McQUINN

Victoria
MICHAELS

Alison
OBURIA

ZAKOCHAJ SIĘ WE MNIE

SZEŚĆ SPOJRZEŃ NA MIŁOŚĆ *Pascal*